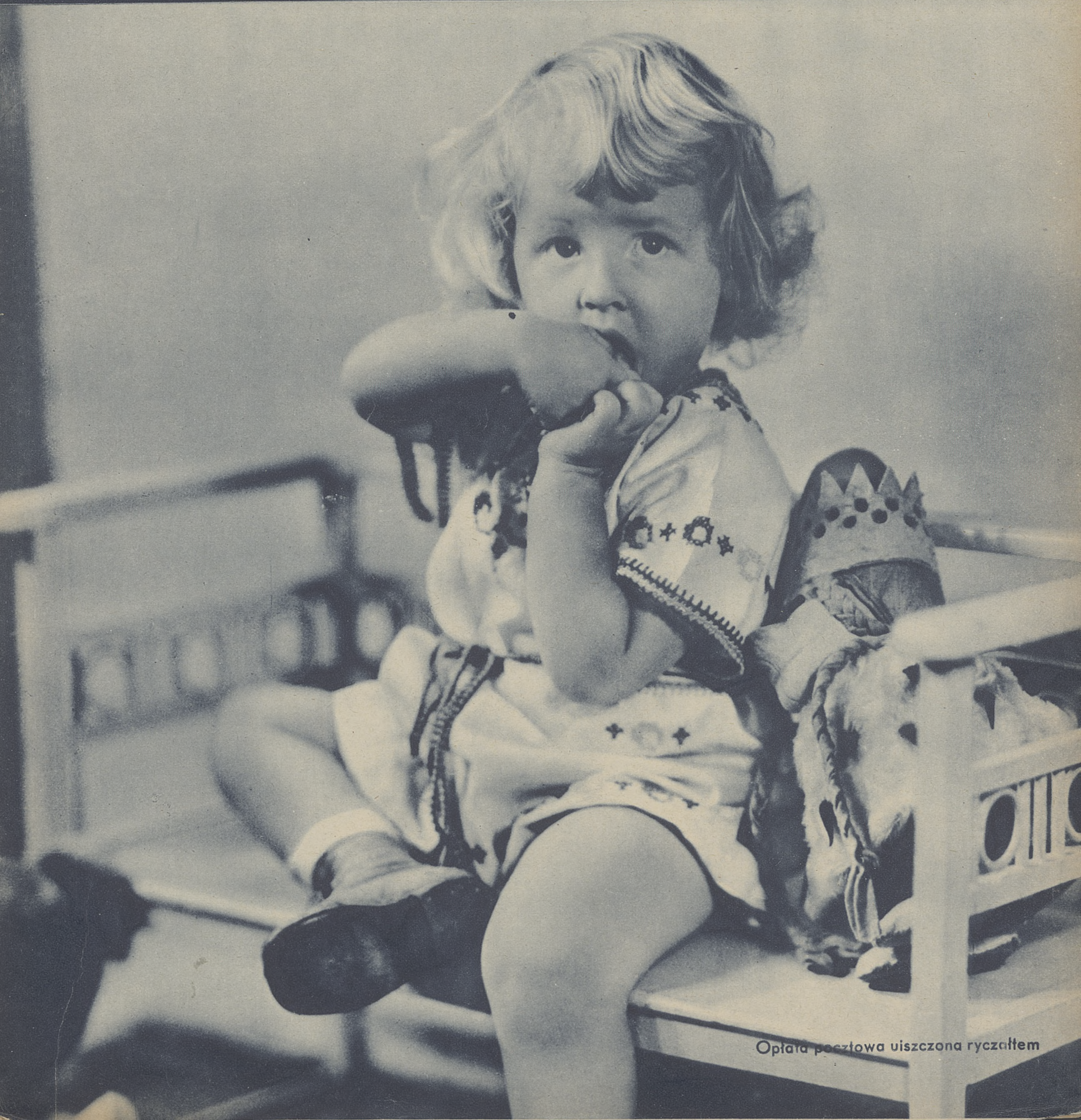
TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 8

23 lutego 1936 r.



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem


1.


2.


3.

1. SPÓDNICA W KRATKĘ I ŻAKIET JEDNOBARWNY ZAPIĘTY NA DUŻE GUZIKI. PHOTO YVA

2. KOSTJUM WIOSENNY Z GRUBEJ ANGIELSKIEJ WEŁNY. PHOTO YVA.

3. STROJNY KAPELUSZ AKSAMITNY PRZYBRANY STRUSIEMI PIÓRAMI. MODEL FIRMY CHANEL. PHOTO LUIGI DIAZ.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. NR. 8. 29 LUTEGO 1936 R

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, SZPITALNA 5, m. 15 — TELEFON 5-07-03

ACH, KIEDYŻ WYKUJEM...

Mówiono: to potrwa najwyżej kilka tygodni. Siły są niewspółmierne. Doskonale wyćwiczonej, ożywionej duchem patrjotycznym armji włoskiej Negus może przeciwstawić tylko bandy źle uzbrojonych niezdyscyplinowanych wojowników, skłóconych między sobą plemion abisyńskich. Wygrana Italji jest pewna.

Mówiono i inaczej: Wojna — jeżeli można to nazwać wojną! — przeciągnie się na długie lata. Najlepiej uzbrojona i nowocześnie wyekwipowana armja jest bezsilna wobec naturalnej potęgi Abisynji. Zabójczy dla europejczyków klimat, choroby, brak wody i deszcze, deszcze, które gdy się raz rozpadają — zamieniają cały kraj w nieprzebyte jeziora i bezbrzeżne rzeki — oto broń wobec której ustępują karabiny maszynowe, tanki i samoloty.

Mówiono jeszcze, że Liga Narodów spewnością znajdzie jakieś wyjście, że świat nie chce wojny, że doroślismy do tego, by rozwiązywać konflikty międzynarodowe niekoniecznie obrzucaniem ambulansów Czerwonego Krzyża bombami i obcinaniem głów białym jeńcom.

Mówiono wiele innych jeszcze rzeczy — prorokowano, przekładano — a łuna nad Afryką pali się coraz silniej i coraz groźniejsze refleksy rzuca na resztę świata.

Co z tego wyniknie? czy rzeczywiście — nowa wielka wojna, jak tamta, której najwytrawniejsi dyplomaci i ekonomiści przepowiadali, że potrwa najwyżej trzy miesiące? Jak wiemy, trwała cztery lata z okładem, a kosztowała miljony istnień ludzkich i o wiele więcej miljonów niczem niewyrównanych krzywd. Rany, jakie pozostawiła po sobie — krwawią do dzisiaj, a najstraszniejszą może, najtrudniej gojącą się raną jest w r o g o ś ć, jaka właśnie po wojnie zapanowała między ludźmi. Narody, stronnictwa polityczne, ugrupowania społeczne z większą niż kiedykolwiek niechęcią odnoszą się do siebie, bezwzględniej dopominają się o swoje rzeczywiste czy urojone prawa, ostrzej przeciwstawiają interes własny interesowi innych.

Byłoby to zadanie zbyt trudne i wychodzące poza ramy tego artykułu dociekać, gdzie leży istotna przyczyna tego, że 11 listopad nie stał się początkiem nowej pokojowej ery jeżeli nie całego świata, to przynajmniej tej jego części, która śmiercią najlepszych swoich synów przypieczętowała historję lat 1914—18.

Jedno jest tylko pewne: nie dojrzeliśmy do pojęcia p o k o j u i nie umiemy wyzwolić się spod — świadomego lub nieświadomego — uroku wojny, choć brzmi to paradoksalnie, to jednak jest to nie paradoks, a prawda. Pomimo okropności ostatniej wojny, pomimo prywacji, które boleśnie odczuli nawet i ci, wojną bezpośrednio niedotknięci — wojna dla wielu pozostała „wojenką", o której się śpiewa, „cóżeś ty za pani, że za tobą lecą chłopcy malowani", albo na której „jest ładnie", choć dalsze słowa piosenki mówią o tem, jak to „ułan z konia spadnie"... Patrzymy spokojnie, jak nasi synowie „bawią się w wojnę", i nie oburzamy się na wystawy sklepowe, które „zmysł aktualności" każe kupcom ozdabiać szeregiem białych misiów idących na bagnety na misiów rudych. Bez sprzeciwu dostarczamy naszym dzieciom książek o wojnie, i uważamy za naturalne, że „powtarzanie historji" ogranicza się do wyliczania wojen, prowadzonych przez monarchów lub republiki.

Krótko mówiąc — pozwalamy młodzieży wzrastać w atmosferze wojny, w wojnie szukać pola do okazania bohaterstwa, wojnę uważać za system załatwiania międzynarodowych konfliktów. To „nastawienie psychiczne na wojnę" sprawia, że uważamy tę największą chyba z klęsk — niemal za jedyną metodę rozwiązywania wielu zagadnień natury ekonomicznej i populacyjnej.

Tu dodać muszę, że nie należę bynajmniej do tych pacyfistów, którzy już dziś chcieliby np. widzieć Polskę rozbrojoną. Rozumiem, że ten ideał jest bardzo daleki i że nasz interes państwowy wymaga, żebyśmy wykazywali taką samą gotowość bojową, jaką wykazują inne państwa. Nie możemy być „Chrystusem Narodów", jak o tem marzyli romantycy. Nie możemy poświęcać swojej niepodległości na ołtarzu szczytnych ideałów powszechnego rozbrojenia, braterstwa ludów i pokoju.

Ale możemy i powinniśmy wychować naszą młodzież w pojęciu, że bohaterstwo, poświęcenie, spełnienie swego obowiązku na wojnie — to rzeczy piękne i wzniosłe. Ale sama wojna nie jest rzeczą piękną i, przedewszystkiem, jest rzeczą straszliwie poważną.

Nie wolno się w nią „bawić", nie wolno myśleć o niej jak o „wojence", nie wolno w niej szukać ujścia dla swego bojowego temperamentu, ciekawości, czy awanturniczego usposobienia. Wojna, na której każdej chwili ważą się losy tysięcy istnień, przyszłość ludów, niepodległość państw może być n i e u n i k n i o n y m w y n i k i e m powikłań międzynarodowych, ale nigdy niemoże stać się c e l e m.

Gromkie hasła Mussoliniego o dziejowej roli Italji, o obowiązku wykonania odziedziczonego po rzymianach testamentu imperjalistycznego mogą porwać garść zapalonych młodzików, ale nie znajdują u s p r a w i e d l i w i e n i a w sumieniu ludzkiem.

Konflikt włosko-abisyński nie jest konfliktem samym w sobie, który da się załatwić w ramach interesów i ofiar tych dwu narodów. Łuna pożaru Afrykańskiego oświetla cały świat, wszystkie państwa się dozbrajają. Żadne nie chce i nie może dać się wyprzedzić innym, każde musi czuć się w możności stawiania czoła ewentualnym napastnikom.

I każde prowadzi gospodarkę dewestacyjną, wkładając w przygotowania do wojny miljony, które mogłyby dać chleb i pracę setkom tysięcy bezrobotnych.

Kiedy się to skończy? Czy nadejdzie ów czas, o którym mówi Romanowski:

„Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?"

Nie bawmy się w proroctwa. Ale zdaje mi się, że jedyną drogą zwalczenia wojny jest wychowanie młodzieży całego świata w świadomości powagi wojny. Nie w negatywnym do niej stosunku — na to nie pozwala nam interes państwa, bo wojna bywa czasami, aczkolwiek smutną, ale jednak koniecznością — ale właśnie w świadomości jej powagi.

Bo na wojnie nigdy nie „jest ładnie". Bo wojna to nie mundur, odznaczenia, szczytne bohaterstwo i nie piosenka, którą potem po latach, tak łatwo śpiewamy. Wojna to największa hańba ludzkości. Największa — właśnie dlatego, że czasami — jak dla nas Polaków — była j e d y n ą d r o g ą do uzyskania sprawiedliwości dziejowej.

Zofja Popławska.

„DOM DZIEWCZĄT"

Praca kobieca, staranna, drobiazgowa i wnikliwa, znajduje szerokie i wdzięczne pole działania w zakresie pedagogiki. Nie ulega wątpliwości, że podejście kobiece do tak subtelnego zagadnienia, jakiem jest problem duszy dziecka, ma o wiele więcej widoków skutecznego oddziaływania na młodocianych, niż ingerencja mężczyzny, z natury rzeczy nie predestynowanego do nastawień matczynych. A tylko i wyłącznie one mogą dać niejakie gwarancje, że praca nad młodym umysłem nie przebrzmi bez echa. Przesiewać serce przez rozum! — oto nasze hasło, doskonale wyczuwane przez dzieci nietylko normalne, ale i zacofane w rozwoju, niedorozwinięte, zaniedbane. Do kategorji tych ostatnich należą oosbniki wyrosłe w atmosferze otoczenia niezdrowego fizycznie lub moralnie, które niepodciągnięte do poziomu przeciętnego, mogą się stać niebezpieczne w znaczeniu społecznem. Myśl penitencjarna przedewszystkiem ku nim jest skierowana, gdyż statystyka wykazuje olbrzymi odsetek rekrutujących się z nich przestępców, zaś pedagogika specjalna zajmuje się kształtowaniem charakteru dzieci wykolejonych i spaczonych.



Dom dziewcząt



Wgłębi budujący się nowy gmach zakładowy...

Na terenie Polski mamy jedyny w kraju zakład wychowawczy dla dziewcząt, kierowanych tam przez sądy. Należy on do Patronatu (Towarzystwa Opieki nad więźniami) i pełni w dużej mierze rolę profilaktyczną, wyrywając młode istoty ze szponów czyhającej na nie przestępczości. Nastawiony jest na jaknajdokładniejsze wnikanie w psychikę powierzonych mu wychowanek, zrozumienie i ustalenie pobudek ich czynów, oraz wybranie dla każdej zosobna odpowiedniego dla niej zawodu, wykształcenie jej w tym kierunku i wyszukanie w miarę możności pracy.

Personel dobierany jest nader starannie i składa się z osób, posiadających wykształcenie specjalne.

Po przyjęciu do zakładu dziewczyna poddana zostaje zbadaniu przez Porad-



Z uśmiechem na zbiórkę

co tydzień dyżurna zastępowa bierze udział w posiedzeniach personelu nauczycielskiego, wydającego oceny wychowankom. Są tu brane pod uwagę trzy zasadnicze momenty: skrupulatność w pracy i pilność w nauce, przestrzeganie regulaminu zakładowego, oraz stosunek do koleżanek (w tym wypadku ma właśnie głos dyżurna zastępowa). Stawiane są jedynie plusy, minusy oraz zastrzeżenia, które mogą być skasowane w tygodniu następnym. Ambicją dziewcząt jest dostanie się na tablicę t. zw. „złotolistków", co uwarunkowane jest pewną ilością plusów w ciągu kilku tygodni.

Szczegółowe i wszechstronne zaznajomienie czytelniczki z systemem pedagogicznym, przyjętym w Domu Dziewcząt, jest w ramach jednego artykułu nader trudne, zresztą wkraczałoby w zakres ściśle naukowy. Jakkolwiek bowiem linja wytyczna metody wychowawczej jest ustalona i niezmienna, jednak środki i sposoby osiągania jej celów są niesłychanie różnorodne, gdyż podejście do każdej wychowanki musi być bezwarunkowo indywidualne.

Zwolnienie dziewczyny z zakładu uwarunkowane jest opinją personelu nauczycielskiego, postanowieniem pedologa, orzeczeniem Poradni Psychotechnicznej Uniwersytetu im. J. Piłsudskiego i decyzją Komisji Patronatu, która po uzgodnieniu wszystkich zdań występuje do odpowiedniego sądu z wnioskiem o zwolnienie wychowanki z zakładu. Zdarzają się też zwolnienia t. zw. „próbne", gdy dziewczyna umieszczona zostaje w bursie lub w domu prywatnym i poddana jest obserwacji, która wykazuje po pewnym czasie, czy wychowanka może być zwolniona całkowicie: w przeciwnym razie wraca do zakładu jako nieprzygotowana jeszcze do samodzielnego życia.

nię Pedologiczną Patronatu. Obie te agendy instytucji współpracują ze sobą, przytem Poradnia dostarcza, prócz wszechstronnych wyników badań kandydatki, wywiadu o jej środowisku, potrzebnego zakładowi do stworzenia sobie jaknajdokładniejszego obrazu dotychczasowego jej życia. W okresie obserwacji dziewczyna powierzona zostaje opiece jednej ze starszych i bardziej wyrobionych wychowanek np. zastępowej (o czem będzie mowa dalej), która wciąga ją do zespołu koleżeńskiego, czuwa nad nowicjuszką i t. d.

Nowa wychowanka dostaje narówni z innemi oceny ze swej pracy, zachowania i stosunku do koleżanek, lecz oceny te przed upływem trzech miesięcy nie są brane pod uwagę jako bezsprzecznie pewne, ważkie i nieomylne. W ciągu tego czasu zarysowuje się już wyraziście charakter, skłonności, usposobienie i zdolności dziewczyny, która się w zakładzie zadomowiła i przeszła wszystkie fazy niepoddawania się regulaminowi, jak: pozorną uległość, wybuchy niechęci i t. p. Wobec tego zostaje teraz przydzielona do odpowiedniej grupy szkolnej i warsztatu pracy po uprzednich gruntownych badaniach psychologicznych, prowadzonych na miejscu przez kobietę-psychopatologa.

W następstwie wychowanka przenoszona jest kolejno z jednego działu pracy do drugiego i uczy się programowo pod kierunkiem fachowych instruktorek. W ciągu 2—3 lat, zdając odpowiednie egzaminy, przechodzi kurs gospodarstwa domowego i wiejskiego w najszerszym zakresie, kurs kroju i bieliźniarstwa, świetlicę z robotami ręcznemi, warzywnictwo i kwiaciarstwo, a prócz tego — w grupach kurs szkoły powszechnej (egzaminy zdawane są przed komisją w szkole państwowej powszechnej).

Prócz spełniania swych czynności fachowych instruktorki stoją na czele kółek społecznych, które jednak działają autonomicznie. Największe jest koło Młodzieży Czerwonego Krzyża, urządzające kursy sanitarne i higjeniczne oraz promieniujące hasłami czerwonokrzyskiemi na całe życie zakładowe. Pozatem istnieją kółka: oszczędnościowe, teatralne, kulturalno-oświatowe, redakcyjne i inne.

Wzorem harcerskim dziewczęta podzielone są na zastępy, których zastępowe odbywają wspólne narady nad usprawnieniem życia w zakładzie, sposobami wpływania na osobniki niesforne, niekoleżeńskie i wyłamujące się z pod regulaminu. Kolejno.



Na zagonkach w ogrodzie

Cała jednak praca nad przekuciem i ukształtowaniem charakteru dziewczęcia poszłaby na marne, gdyby zakres jej kończył się w chwili opuszczenia przez wychowankę zakładu. Powstała więc w Patronacie nowa agenda, do której stale i ciągle przyjmowane są zgłoszenia osób chętnych do pracy: Koło Pań Opiekunek, zajmujących się dziewczętami, umieszczonemi w pracy, u rodzin, w szkołach i t. d. Należałoby stworzyć bursę, rodzaj ogniska, gdzie koncentrowałoby się ich życie, aby młode i najlepszemi chęciami ożywione istoty mogły znaleźć dom i ostoję.

Dom Dziewcząt nabiera rozgłosu. Wie o nim i zna go świat pedagogiczny, wspomniany był na Kongresie Wychowania Moralnego w Krakowie, zwiedziły go delegatki z Bureau International d'Education w Genewie, które nadesłały po swej wizycie serdeczny list pełen wyrazów uznania.

Na terenie zakładu budowany jest nowy gmach, przystosowany do potrzeb instytucji wychowawczej, który będzie mógł pomieścić przeszło sto dziewcząt. Budowa prowadzona jest z subsydjów Ministerstwa Sprawiedliwości, lecz wykończenie i umeblowanie domu zależy od pomocy społeczeństwa. Patronat nie wątpi, że znajdą się osoby lub stowarzyszenia kobiece, które zajmą się tą niesłychanie ważną placówką wychowawczą i przyśpieszą moment jej otwarcia. Znajdzie w niej wówczas przystań, serce i naukę mnóstwo młodych zbłąkanych istot, które wyprostowane moralnie, pewne swych czynów i celów życiowych, pójdą w świat z przekonaniem, że oddać winne społeczeństwu zaciągnięty względem niego dług obowiązku i wdzięczności.

Zofja Petersowa.

POMOCNICZE SIŁY BIUROWE

(Z cyklu Kobiety o sobie)

Każda z nas, która się zetknęła z pracą kobiet w biurach, musi przyznać, że dają one swą pracę, i to pracę uczciwą, rzetelną i solidną, pracując często wytrwalej i lepiej od mężczyzn, wzamian za co są wyzyskiwane i przy wynagrodzeniu i przy warunkach samej pracy.

Od kobiety żąda się umiejętności wszystkiego. I pisania na maszynie, i znajomości pracy zawodowej jako takiej, a wreszcie doskonałej orjentacji w pracach kancelaryjnych. Rzadko spotkać można jeszcze dzisiaj kobiety nawet na lepszych stanowiskach, które posiadałyby sekretarki. Na tem samem stanowisku mężczyzna otrzymuje na każde życzenie sekretarkę, na którą nota bene zwala odrazu część pracy i odpowiedzialności, a przytem zawsze ma znacznie lepsze wynagrodzenie.

Wielokrotnie udało mi się zaobserwować wypadki, że na miejsce zredukowanej kobiety, angażowano dwóch albo i trzech mężczyzn, dodając im jeszcze sekretarkę lub kancelistkę i nikt się temu nie dziwił. Zamiast jednej stosunkowo skromnie wynagradzanej osoby, wypłacano o wiele wyższe pensje kilku panom i nikogo z najsurowszych kontrolerów wydatków to nie raziło.

A teraz przyjrzyjmy się zbliska tej współczesnej golgocie, zwanej szumnie równouprawnionem życiem umysłowo pracującej kobiety.

Jeżeli panna jest młoda i przystojna otrzymać może w nagrodę łatwiejszą i przyjemniejszą pracę. Jeżeli zaś niestety jest brzydka i stara lub znękana życiem — na dodatek wszystkiego pracować musi jeszcze ciężej i dłużej, od swoich koleżanek. Kto wysiaduje na wszystkich dyżurach w letnie i wiosenne dnie świąteczne, kiedy świat cały śmieje się do słońca, a zmęczone kości aż proszą o wypoczynek? — Stare zmęczone kobiety.

Co przeciętną kobietę czeka po 8 lub 10 godzinach pracy w biurze po powrocie do domu? Orka, często jeszcze gorsza od tamtej, bo zabarwiona na dodatek niedostatkiem i brakiem pieniędzy na najniezbędniejsze potrzeby. Ciasne i nędzne mieszkanie, dostosowane swym wyglądem i umeblowaniem do zarobków mieszkanek. Z reguły prawie brak światła, wysokie piętra, brudne schody, krzykliwe podwórka i panująca naokoło nędza. Czasem dolatująca przez ścianę kłótnia ordynarnych sąsiadów, czasem niemoralna propozycja przygodnego sąsiada z korytarza.

W takich warunkach trudno naprawdę zachować pogodę ducha lub radosny uśmiech, nawet jeżeli ma się swoich 20 parę lat. A te drugie, te stare i brzydkie jeszcze gorzej czuć się muszą w takiej atmosferze. One nawet nie łudzą się już poprawą swej nędznej wegetacji. Jedynie drżą przed redukcją, która co miesiąc zagląda do nich z za węgła.

Czy tysiące kobiet, które od 20 lat ofiarną swą i źle wynagradzaną pracą zasilają kadry urzędników państwowych i komunalnych, które narówni z mężczyznami przyczyniają się do rozwoju mocarstwowego Polski, nie zasłużyły sobie na trochę uwagi? Czy nie powinny mieć chociaż trochę słońca i estetyki w domu, a co najważniejsze spokoju, którego tak bardzo potrzebują ich nerwy skołatane przez lata walki z życiem.

Czekają, one wciąż jeszcze, cierpliwie czekają, na zbudowanie im domów, gdzieby miały jakąś świetlicę, tanie i dobre książki, pisma, parę razy na miesiąc kino. Coś w rodzaju świetlic żołnierskich. Przecież te kobiety, zarabiające po 100 zł. a co najwyżej 200 zł. miesięcznie nie widzą całemi latami teatru ani kina, nie prenumerują pism, nie czytują książek dobranych przez siebie, poza przypadkową lekturą, nie chodzą do kawiarni, nie słyszą wreszcie dobrej muzyki. Nawet radjo jest w tych warunkach dla wielu z nich niedostępne. Opłata 3 złote miesięcznie to jest już kwota zbyt poważna w ich budżecie.

Obserwując życie kobiety umysłowo pracującej w Polsce, zwłaszcza w charakterze t. zw. biurowej siły pomocniczej, dochodzę coraz częściej do wniosku, że przechodzi ona koło życia w swej wiecznej szarej trosce, ale nie żyje niem w pełni. Świat bezwzględnie u nas należy do mężczyzny, a zwłaszcza świat pracy. Kobieta jest w nim wiecznie jeszcze nonszalancko tolerowanym dodatkiem.

Marja Szachówna.

Kobiety w Sowietach

Mają wszystkie drogi otworem. To, o czem marzyły i do czego dążyły angielskie kobiety-feministki zeszłego stulecia — stało się faktem. Niema dziedziny, gdzieby brakowało kobiet. Pracują wszędzie i to ciężko pracują. Narówni z mężczyznami ponoszą wszelką odpowiedzialność, aż do kary śmierci włącznie.

A jednak, czy to równouprawnienie w pracy jest wszystkiem? Czy przekreśla sprawę kobiecą? Oczywiście, że nie, gdyż jest ona tak różnorodna i wielostronna jak samo życie.

Ilość kobiet pracujących w ZSSR powiększa się z roku na rok i dziś stanowi 1/3 wszystkich pracowników. Nawet w ciężkim przemyśle kobiety stanowią 1/5 personelu. Na 100 robotników przypada kobiet:

	1/I 1929	1/I 1933	1/I 1934
w hutnictwie	8,3	21,9	22,3
w górnictwie	4,2	13,3	17,4
w przem. chem.	34,0	39,0	38,9

Przemysł lekki jest w 3/5 opanowany przez kobiety. Za rok 1935 nie posiadamy jeszcze statystyki.

Ilość kobiet kwalifikowanych rośnie również: w szkolnictwie technicznem liczba kształcących się dziewcząt wzrosła z 45 tys. (1928) do 152 tys. (1934). Naogół stanowią one 30% uczniów. Kobiet o wyższych kwalifikacjach jest 10,1%, na stanowiskach kierowniczych widzimy obecnie 300 kobiet.

Płace kobiet nie wszędzie są zrównane z mężczyznami. Spotykamy takie fakty, że absolwenci i absolwentki tej samej specjalności, zatrudnieni w fabryce pobierają wynagrodzenie, różniące się o 100 rubli i więcej: zgóry przewiduje się zatem mniejszą wartość pracy kobiet. To samo zjawisko obserwujemy i w późniejszem szczeblowaniu. Wielu kierowników zakładów przemysłowych walczy jeszcze o niedopuszczenie kobiet do swego warsztatu pracy.

Główny zarzut, stawiany kobietom—to brak kwalifikacji; zupełnego oddania się sprawom przedsiębiorstwa; brak inicjatywy i ducha organizacyjnego. Wymagań coniemiara—a warunki społeczne są takie, jak za dawnych czasów. A więc: wychowanie dzieci, gospodarstwo domowe, ciasnota lokalu, utrudniony sposób zdobywania produktów spożywczych i t. d.

Przyjrzyjmy się jak wygląda dzień roboczy kobiety sowieckiej.

Wstaje o parę godzin wcześniej od męża, bo przed wyjściem z domu do fabryki musi spełnić cały szereg prac domowych, dyktowanych biedą i specyficznemi warunkami bytu komunistycznego. O godzinie 7 i pół ma być już przy warsztacie. Pracując, myśli wciąż o pozostawionych dzieciach: troska jej wybiega za niemi na podwórko, na ulicę, do szkoły. Brak miejsca w żłobku fabrycznym lub przedszkolu jest zjawiskiem powszechnem. Ilość tych instytucyj w ZSSR jest minimalna. Dzieci w wieku szkolnym są wprawdzie objęte powszechnem nauczaniem, ale opiece szkolnej podlegają tylko przez kilka godzin, gdyż w każdym budynku szkolnym uczą się trzy zmiany. Poza godzinami szkolnemi dziecko przebywa na ulicy, jest wciągane przez starsze dzieci do chuliganerji, napadającej na przechodniów, obdzierającej ich z pieniędzy i papierosów, zabierającej młodszym dzieciom książki i ubrania.

Czasami matka pracująca zabiera dziecko ze sobą, jak np. szoferka, która musi brać dzieci nieraz i na przymusowe wykłady wieczorne. Czasami kobiety radzą sobie w ten sposób, że biorą na siebie *nocną pracę zarobkową*. Wówczas są do pewnego stopnia spokojne o swoje dzieci.

Wprawdzie w Sowietach panuje sześciogodzinny dzień pracy, jednak istnieje przymus kursów dokształcających — tak fachowych, jak i społeczno-partyjnych oraz branie udziału w życiu klubowem. Nie branie udziału w życiu społecznem jest oczywiście potępiane, wobec czego kobiety zamężne pragnące się utrzymać na posadzie — muszą rezygnować z życia rodzinnego.

A kwestja żywienia siebie i rodziny? Wprawdzie istnieją jadłodajnie, ale pożywienie w nich jest niżej wszelkiej krytyki. Gazeta „Gudok", z dnia 11 września 1935 r. zamieszcza ciekawy artykuł na ten temat p. t. „Dlaczego obiad w jadłodajni jest taki drogi i zły?" Częstem zjawiskiem są karaluchy i owady w potrawach. Najlepszym dowodem, czem są jadłodajnie — jest fakt masowego ich zamykania („Za Industrjalizacju", Nr. 209, 11/IV 1935 r.).

Podawnemu zatem na kobietach ciąży obowiązek gotowania i obsłużenia całej rodziny.

Wymieniliśmy tylko kilka bolączek życia kobiecego w ZSSR, ale jest ich coniemiara; wystarczy pobieżny rzut oka na prasę, nawet tak powściągliwą jak sowiecka, aby nas o tem przekonać.

Occidentalis.

ZAPOWIEDŹ LEPSZEGO JUTRA

Domy dla samotnych kobiet najliczniejsze są w Stanach Zjednoczonych Ameryki Płn., we Francji, w Danji, Belgji i Holandji. Powstałe, jako fundacje dobroczynne i społeczne, jako dzieła samopomocy zbiorowej, tworzone przez komitety, związki i stowarzyszenia, rozwijają się znakomicie i są nieporównanym punktem oparcia dla kobiet, pozbawionych, wskutek warunków rodzimego domu.

Różne są ich organizacje, różne stopnie zamożności, wszędzie jednak mają te same cele i zadania. Skupiają zasoby, środki, siły i zdolności (marnujące się nieprodukcyjnie) dla ich możliwie najlepszego użycia; opiekują się kobietą samotną, często bezradną i wyzyskiwaną, dają jej dom, spokój do pracy, pracę. Zaznajomienie ogółu ze stanem i organizacją domów dla kobiet zagranicą, wykazanie pożytku tego rodzaju placówek — to praca, której wartoby się podjąć dla rozświetlenia tej mało dotąd znanej u nas „kwestji kobiecej".

Warszawski Dom dla samotnych inteligentnych kobiet — to placówka bardzo młoda, to raczej jeszcze marzenia i najgorętsze zamierzenia na przyszłość. Założony w październiku ub. roku przez Stowarzyszenie im Wandy Malczewskiej, stanowi dalszy ciąg „Pogotowia bratniego" zorganizowanego w 1918 r. przez p. Anielę Jeziorańską.

— Borykamy się z warunkami — mówi p. Jeziorańska — trudności są podwójne: brak środków materjalnych i kłopoty organizacyjne życia zespołowego. Wskutek różnicy usposobień, przyzwyczajeń, upodobań poszczególnych osób, kierownictwo nie jest łatwe; wymaga dużego talentu organizacyjnego intuicji psychologicznej, często osobistego uroku. „Sztuka wiązania dusz", którą Plato nazwał „sztuką królewską", jest wielką sztuką — uśmiecha się p. Jezoriańska.

„Dom dla kobiet" nie ma własnego domu. Mieści się w wynajętem przy ul. Marszałkowskiej obszernem, słonecznem mieszkaniu. Cicho jest w miłych i prostych pokojach. Staroświeckie meble w salonie (czytelni jednocześnie), portrety w złoconych ramach, przypominają mieszkania naszych babek.

— Gdy urosną składki w żelazny kapitał, powstanie własny, duży dom. Składki nie są liczne. Tak niewiele wiedzą o nas! A zagadnienie to jest przecież najżywszą kwestją samych kobiet; tych, które zmęczył zgiełk współczesnego życia, które nie znajdują spokoju w warunkach „sublokatorek" ocierających się o dom, nieogrzewanych jego ciepłem.

Pani Jeziorańska uśmiecha się ciągle, ale oczy ma wilgotne. Wie doskonale, co znaczy tułaczka. Wie doskonale, jaką wartość ma dla kobiety własny dom.

— Zadaniem naszem — mówi w zamyśleniu — jest ułatwienie życia samotnej, pracującej kobiecie, stworzenie kulturalnego środowiska, które zastąpiłoby jej dom rodzinny. Pośrednictwo pracy, własne jej warsztaty, wszelka akcja kulturalyna, stanowią jedne z ważniejszych punktów naszego programu. Celowa organizacja Domu, wypełniłaby lukę w zakresie naszej pomocy społecznej przez odpowiednie wykorzystanie zdolności i pracy licznych kobiet.

Dopiero dom własny, zbudowany ofiarnością jednostek, rozumiejących jego rolę i potrzebę stanie się placówką pracy i niezastąpioną przystanią, gdy czas odbierze siłom życiową energję.

Klara Sołonowicz.

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść

— Mój Boże — stać mnie na to, żeby być człowiekiem — szepnął do siebie półgłosem, wywijając laską.

Po powrocie do domu natknął się na Cudby'ego, który przyjrzał mu się uważnie przez okulary, w złotej oprawie.

— „God save the Queen!" — zaintonował z przejęciem.

Rozdział X

Owego wieczora Jasper miał uczestniczyć w dorocznym bankiecie, wydawanym przez cech garbarzy, na cześć lorda majora Londynu i jego szeryfów.

Jasper nie cierpiał wszelkich oficjalnych uczt, przyjął jednak zaproszenie, gdyż członkowie rady naczelnej cechu brali żywy udział w jednej ze społecznych organizacyj, założonych przez australijskiego miljonera. Jako abstynent wzdrygał się na widok lasu butelek i olbrzymich półmisków, pełnych ciężkich, pieprznych potraw, a rozmowy smakoszów budziły w nim niepohamowany wstręt. Nawet przyjazna atmosfera, jaka panuje podczas takich koleżeńskich uczt nie wywierała nań żadnego wpływu. Pod tym względem Jasper wykazywał zupełny brak poczucia społecznej solidarności. Nigdy naprzykład nie przyswoił sobie teorji — „przez brzuch droga do serca", nie mógł pojąć dlaczego po sutym obiedzie ludzie stają się liberalniejsi i bardziej współpracujący dla swych bliźnich. Lekceważył rozkosz płynącą ze świadomości, że się ma pełny brzuch i że można zasiąść po obiedzie w wygodnym fotelu i słuchać rzewnej muzyki, podczas gdy wewnątrz organizmu odbywa się proces trawienia. Nie lubiał słuchać okolicznościowych mów, ani ich wygłaszać, pod adresem dobrotliwych obżarciuchów. Lecz ilekroć z racji swego stanowiska zmuszony był brać udział w takich uroczystościach udawał, że mu to sprawia przyjemność.

Dzisiaj jednak miał wystąpić w zupełnie innej roli. Od szeregu dni krył się przed ludźmi, wstydząc się swej przeszłości. Był przecież oszustem, który cudzym kosztem zdobył fortunę i rozgłos. Cóż z tego, że ktoś inny na jego miejscu nie poświęcałby się dla dobra ludzkości, nie stworzyłby sieci charytatywnych placówek... Pieniądze, dzięki którym mógł grać rolę filantropa należą do innego.

O szóstej popołudniu siedział Jasper na imperjalu omnibusa w Holborn, nucąc arję z „Rycerskości wieśniaczej" zaś o siódmej psuł humor swemu sąsiadowi szeryfowi, zadając mu niedyskretne pytanie, na które tamten musiał odpowiadać, co go skolei zmuszało do przerywania funkcji ogryzania pieczonego gołąbka. Już po dziewiątej Jasper nie pamiętał ani jednego słowa z przygotowanej przez siebie mowy, jaką miał wygłosić podczas deseru.

W głowie szumiały mu słowa wypowiedziane przez Alicję. Upił się niemi niby mocnem winem. Lecz gdy wstał z miejsca zdumiał się nad własną elokwencją.

Przed chwilą zdawało mu się że nie będzie w stanie wykrztusić ani jednego zdania, tymczasem nigdy przecie nie przemawiał z taką swobodą i wdziękiem. Gdy usiadł — zerwała się burza oklasków. Wiedział już z całą pewnością, że słowa jego przedarły się przez chmurę dymu i opary alkoholu i wstrząsnęły sumieniem otępiałych uczestników bankietu.

Serce jego biło równo i mocno. Ogarnęło go uczucie dumy. Był w tej chwili niekoronowanym władcą przemawiającym łaskawie do dygnitarzy w historycznych strojach i łańcucach, skupionych wokoło stołów uginających się pod ciężarem złotej i srebrnej zastawy.

Przebiegł wzrokiem po sklepionej sali, ozdobionej herbami i godłami miast. Za rzeźbionemi krzesłami stali świetni lokaje w barwnych kostjumach. Wszystkie twarze zwrócone były w stronę Jaspera. Czerwone oblicza zażywnych starszych panów uśmiechały się do niego przyjaźnie. Jasper był władcą nie tylko z racji swej przewagi majątkowej, ale dzięki temu, że górował nad każdym z obecnych mądrością i charakterem.

— A jednak drogi panie — zwrócił się do niego szeryf, będący członkiem rady naczelnej cechu — pomimo pańskiej znakomitej argumentacji nie uda się nam uzyskać zgody parlamentu, na zakup terenów dla robotników.

Jasper władczym ruchem oparł dłoń na stole.

— Obiecałem, że to uczynię, — jak zawsze dotrzymuję przyrzeczeń.

Zdawało mu się, że w tej chwili potrafiłby rządzić całem brytyjskiem imperjum. Czemże w porównaniu z potężnem mocarstwem jest gromada posłów, zasiadających w Izbie Gmin...

— Mojem zdaniem wystarczy jeden wymowny i energiczny człowiek, który wie czego chce... Człowiek zdecydowany na wszystko ma do pomocy tajemne, niewidzialne siły. Ktoś kto powie sobie: m u s z ę to uczynić, zawsze wkońcu odniesie zwycięstwo nad gromadą bezwolnych, chwiejnych, anemicznych istot, niezdolnych do żywszego odruchu. Entuzjasta musi wziąć górę nad ludźmi, których nic nie obchodzi. Zresztą i oni wolą, gdy ktoś za nich myśli i uwalnia ich od ciężaru odpowiedzialności. Oni zawsze idą po linji najmniejszego oporu. Więk-

szość chce być rządzona, a władzę zdobywa ten, kto po nią sięga.

Parsknął śmiechem i ciągnął dalej.

— To co mówię brzmi jak wyznanie Korsarza. Niema jednak innego sposobu wprowadzania w czyn szlachetnych reform. Zasada „coup d'etat" daje doskonałe wyniki w każdej dziedzinie, nawet w życiu codziennem przeciętnego obywatela. Cromwell dokonał gwałtu, na instytucji parlamentu. Danton był także zwolennikiem gwałtownych metod. Oni wszyscy potwierdzają słuszność moich słów. Zna pan może stare angielskie przysłowie „człowiek z charakterem robi to co chce". Równie dobrze mogłoby ono brzmieć: „Człowiek z charakterem p o w i n i e n robić to co chce".

Szeryf słuchał Jaspera popijając gęste, ciemne porto, ale rozkosz jaką odczuwało jego podniebienie psuła myśl o domu, gdzie rządziła pani szeryfowa w myśl wyżej wygłoszonych zasad.

— Mamy do pana pełne zaufanie — odezwał się wreszcie — pan jest jedynym znanym mi osobiście politykiem, który dąży do celu nie licząc się z opinją. Niestety... Nie mogę iść w pańskie ślady, a tak bardzo tego pragnę...

— Dlaczego?

Szeryf westchnął żałośnie, ale nie odpowiedział.

Po wyczerpaniu listy mówców goście przeszli do przyległego salonu, gdzie podano herbatę i kawę. Kilku nienasyconych osobników rzuciło się, na gorące racuszki. Inni chłonęli dym drogich cygar i aromatyczną woń kawy. Jasper znalazł się w grupie dostojnych osób — sam lord major we własnej osobie, oraz przewodniczący cechu zasypali go komplementami. Nieugięte stanowisko jakie zajął w sprawie nabycia terenów, które wskutek najrozmaitszych trudności nie przeszły dotychczas w ręce władz miejskich, utwierdziło ich w przekonaniu, że Jasper posiada większe wpływy, niż ojcowie miasta. Teraz dopiero zaczynano liczyć się z nim naprawdę. Odgrywał przecież rolę w polityce.

Znowu przeszyła go świadomość własnego znaczenia — zdobył oto poparcie Londynu.

— Powinien pan umocnić swe stanowisko — zauważył szeryf — wstępując do naszego cechu.

— Pan Vellacot nie potrzebuje umacniać swej pozycji — odparł przewodniczący potężnego cechu garbarzy — ale skoro odniesie zwycięstwo uprosimy go, by zechciał przyjąć godność mistrza cechowego. Tylko w ten sposób możemy okazać mu wdzięczność.

Wracając do domu Jasper stopniowo odzyskiwał równowagę ducha. Chłodny wiatr ostudził nieco jego zapał. Wspomnienie bankietu, chełpliwej rozmowy i przyjemnych dreszczy jakich doznał, pod wpływem powodzenia obudziło w nim sztubacką wesołość. Roześmiał się na całe gardło. Jedno spotkanie z Alicją wystarczyło, by go pozbawić na cały dzień poczucia umiaru. Poprostu stracił głowę i przestał panować nad sobą. Niebezpieczny to objaw — pomyślał z przestrachem — trzeba trzymać nerwy na wodzy.

Roześmiał się na myśl, że zachowuje się jak histeryczka.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się dziesiąta. Niemiał ochoty wracać do domu. Dzisiaj właśnie pragnął uniknąć powrotu do mieszkania, w którem przebywał Burke.

— Będę żył jak Bóg przykazał, ale nie dam się Burkowi — powtarzał w duchu. Postanowił być nieustępliwy i stanowczy.

Nagle zatęsknił boleśnie do Alicji. Ona jedna potrafiłaby uspokoić jego stargane nerwy, nie śmiał jednak składać jej wizyt, o tak późnej porze. Jedno z dwojka — albo jej nie zastanie w domu albo już się ułożyła do snu. Postanowił więc udać się do Bunny'ego.

Gdy zastukał do drzwi jego kawalerskiego mieszkania, młody literat zerwał się z krzesła i rzucił pióro.

— Jak to miło, że pan mnie odwiedził! — zawołał uradowany.

Pojawienie się gościa wywołało jak zwykle nieopisany zamęt, Bunny pomógł Jasperowi zdjąć płaszcz, podał mu krzesło i zaczął grzebać w papierach, szukając pudełka z papierosami.

— Strasznie jestem nieporządny — sumitował się pokornie — a moja posługaczka jest jeszcze gorsza. Skutki tego są opłakane. Ale to głupstwo. Grunt, że pan przyszedł. Nie widziałem pana sto lat. To nie moja wina. Zaglądałem do pana kilkakrotnie, ale pan spędza całe życie w parlamencie, głowiąc się nad jakiemiś reformami. Proszę... niech pan weźmie tę poduszkę. Krzesło jest okropnie twarde. Mogłoby służyć jako narzędzie tortur w epoce inkwizycji.

Nie przestawał mówić, krzątając się po mieszkaniu, podniecony i radosny jak dziecko, lecz nagle urwał w połowie zdania i popatrzał na Jaspera z przerażeniem.

— Ładna historja. Niema ani kropli whisky. Ale ja zaraz skoczę na dół, do szynku i przyniosę butelkę.

Zaczął gorączkowo szukać bucików za kanapą, Jasper powstrzymał go ruchem ręki. Oświadczył mu, że jest najedzony i opity jak bąk i wzdryga się na myśl o jedzeniu. Wystarczy mu papieros i rozmowa z Bunnym. Poeta przestał nalegać, — uspokojony rozsiadł się wygodnie, na wygniecionej kanapie, zarzuconej książkami i gazetami.

— Jeśli chodzi o rozmowę — zaczął ze śmiechem — to nie zbraknie nam tematu. Niektórzy ludzie nie umieją rozmawiać. Zdumiewający objaw... To tak, jakby ktoś nie umiał gwizdać. Tyle jest spraw do omawiania, każdy człowiek kryje w duszy moc ciekawych problemów. Chciałoby się wydobyć z każdego jego tajemnicę.

—Zwłaszcza, gdy się przez tyle czasu unikało ludzi, jak ognia — zauważył Jasper. — Żyjąc jak pustelnik.

— Myli się pan. Zapewniam pana, że nie byłem wcale samotny. Któż to rozpuszcza plotki, o mojej osobie? Daję głowę, że to Alicja. No tak — z nią się dawno nie widziałem. To prawda. Ale chyba nie jest na mnie obrażona? — zapytał, zrywając się z kanapy — nie chciałbym sprawić przykrości tej słodkiej, miłej kobiecie. Jest jedną z kobiet, które naprawdę kocham.

— Jedną z wielu?

— Bo widzi pan ja mógłbym kochać sto kobiet jednocześnie. A pan? — dodał, z niewinnym uśmiechem.

— Jestem oschłym politykiem, a nie poetą — odparł Jasper.

— Założę się, że w najbliższych dniach zakocha się pan po uszy, jak sztubak.

— Może być, jeżeli zdziecinnieję — rzekł Jasper — i uśmiechnął się ironicznie. Nie widział siebie w roli zakochanego Orlanda, wycinającego inicjały ukochanej, na dębowych pniach.

— Wracając do rzeczy zapytuję pana raz jeszcze, czy Alicja czuje się dotkniętą? — odezwał się znowu Bunny.

— Jedno jest pewne. Lady Alicja wybaczy mu, o ile pan poprosi ją o przebaczenie.

(D. c. n.)

Z OSTATNICH WYSTAW

Wydarzeniem żywo komentowanem jest zorganizowana przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych Wystawa i Konkurs na najlepszy portret Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Nadesłano znaczną ilość prac zarówno malarskich jak i rzeźbiarskich, część z nich tylko została przyjęta, a nawet z braku miejsca, nie wszystkie aprobowane przez jury, zostały wystawione.

Obok prac podpisanych nazwiskami znanemi jak Batowski (Marszałek na koniu), Norblin (4 portrety), Zawadzki, Bartel, Dąbrowska (miniatury znane już z uprzednich pokazów), Karny (głowa w granicie, która zyskała nagrodę), wystawiono szereg dzieł opatrzonych tylko godłami.

Rezultat tego przedsięwzięcia jest niestety chybiony, ani obrazu, ani rzeźby nie znajdujemy tu żadnej, któraby całkowicie odpowiadała wyobrażeniu naszemu o postaci Marszałka i zarazem była dziełem sztuki na odpowiednio wysokim poziomie. Podobizny Marszałka, z różnych epok jego życia, od lat młodych, legjonowych, począwszy, poprzez wiek dojrzałych aż do epoki ostatniej, ukazują nam Jego oblicze pogodne, żartobliwe, lub groźne i stroskane, sterane wiekiem i przeżyciami. Są niekiedy między temi podobiznami „podobne" lecz niestety tylko tem podobieństwem szablonowem, nie wytwarzającem syntezy wizerunku. Powstały one na fałszywej drodze opierania się przez artystów tylko na przypadkowej fotografji, która może być jedynie używana jako pomoc do wytworzenia swojej własnej artystycznej koncepcji.

Artyści współcześni stanęli przed doniosłem zadaniem stworzenia portretu Marszałka, któryby na przyszłość utrwalił jego rysy, a zarazem zrealizował sumę przeżyć związanych z Jego Imieniem. Na podstawie obecnego pokazu w Zachęcie trzeba stwierdzić, że zadaniu nie sprostali, wywiązali się z niego słabo, a czasem wręcz skandalicznie.

Trudno poprostu wytłomaczyć sobie jakim sposobem znaleźć się mógł na wystawie obraz przedstawiający Marszałka, jakby straszliwego wampira, lub jako zjawę ukazującą się na srebrzonem tle!

Obok artystów, lub amatorów, winę i odpowiedzialność ponoszą jeszcze większą organizatorzy tej wystawy, którzy przyjmując podobne prace dają im niejako, już przez to samo, passepartout w społeczeństwo, całkowicie dezorjentując opinję publiczną zamiast ją urabiać.

Dzięki tak bardzo charakterystycznym, znanym dobrze wszystkim cechom oblicza Marszałka, nasuwają się łatwizny ujęcia, zewnętrznie podchwytywane podobieństwo sumiastych wąsów, krzaczastych brwi, a brak doszukiwania się głębszych, istotnych cech wyrazu.

Zagadnienie portretu Marszałka nasuwa wiele kwestji. Dziś, po nieudałej tej próbie stało się już jasne, że nie zadawalają nas podobizny Marszałka ukazujące Go nam zgarbionym i zmęczonym, że nie odpowiadają też ujęcia bezpretensjonalne w sensie przedstawiania Go z rozpiętą haftką kołnierza od kurtki. Oczekujemy portretu w pewnym sensie reprezentacyjnego, to nie zdaje się podlegać żadnej wątpliwości, z tem zestawieniem, że chodzi tu o oddanie wizerunku Marszałka poza czasem, który znaczył na Jego obliczu swe piętno, w pewnym nawet stopniu idealizowanym, nie zaś opartego na taniej reprezentacyjności wyrażającej się w łatwych akcesorjach.



Aleksander Sołtan. — Styczeń.

Aparat zużytych dawno rekwizytów dekoracyjnych, kolumn, kotar, płaszczów efektownie zsuwających się z ramion, a nawet orderów i wstęg nie odpowiada pojęciu naszemu o Marszałku. W malarstwie te wszystkie dodatki dają efekty wątpliwej wartości estetycznej, w rzeźbie zaś stanowią horendalne wprost wykroczenia przeciwko zasadom kształtowania bryły. Jedyne dopuszczalne akcesorja w portrecie Marszałka byłyby takie, które wiążą się ściśle z nim samym i Jego czynami, które coś wyraźnie oznaczają, z czemś się donioslem łączą.

Monumentalnością formy, syntezą ujęcia można jedynie osiągnąć pożądaną reprezentacyjność portretu Marszałka. Potrzeba dobrego, a raczej dobrych portretów Marszałka jest w dalszym ciągu aktualna; zadaniu temu sprostają, miejmy nadzieję, portreciści, których Zachęta nie zdołała pozyskać na swój konkurs.

Odpoczynkiem prawdziwym jest po opuszczeniu „Sali portretu" udanie się do sąsiedniej, zajętej przez grafikę.

Wystawiła tu swe prace młoda grupa artystów, debiutująca pod nazwą „Czerń i Biel". Rozwijający się w Polsce świetnie dział grafiki, zyskuje nowy zastęp zdolnych, o doskonale opanowanem rzemiośle pracowników.

Wyszli oni z Akademji Sztuk Pięknych w Warszawie, z klasy grafiki, prowadzonej przez nieodżałowanego prof. Skoczylasa.



Drzeworyt Fijałkowskiej. — Wnętrze z kołyską.

Zofja Fijałkowska, Janina Kłopocka i Fiszel Zylberberg wierni tradycji swego przewodnika uprawiają drzeworyt.

Wypowiadając się tą samą techniką, wyróżniają się jednak sposobem jej stosowania, ujęciem i wyborem tematu.

Kłopocka posługuje się szeroką linją, nadającą syntetyczne formy postaciom układającym się w kompozycje o spokojnym, poważnym rytmie, Fijałkowska drobnemi cięciami, siatką kresek, dziobań, wgłębień osiąga formy drobniejsze, przedstawia nastrojową modlitwę zakonnic, daje doskonałe studja dziewcząt („Świnki", „Pieski", „Konie wśród drzew") stara się wyczarować magją kreski czarno białej, urok pejzażu górskiego; Zylberberg daje szereg motywów wiejskich (np. Wiejski chłopiec, „Dziewczynka z krówką").

Obok drzeworytników do grupy należy Aleksander Sołtan, który uprawia litografję. Rysując kredką na kamieniu, z którego następnie powstają odbitki, osiąga nadzwyczajne efekty malarskie. Fragmenty lasu rozświetlone promieniem słońca, wzburzone fale rzeki, łodzie rybackie na morzu, obłoki, oto ulubione przez niego tematy. Impresjonistyczna wizja świata, szerokie nalewne formy, zastąpione zostają powściągliwością u Bernarda Frydrysiaka, który wystawił kolekcję drzeworytów powstałych przez odbicie z płyt metalowych pokrytych wyżłobieniami igły. Szereg portretów, charakterystyka postaci, główek dziecięcych pełnych wyrazu przykuwa oko widza. Prace te interesują finezją techniki, zastanawiają oszczędnością środków, któremi osiągnięte zostają interesujące bardzo rezultaty.

Wystąpienie „Czerni i Bieli" trzeba podkreślić jako fakt niewątpliwie donosły. Dla zyskania popularności tej grupie przyczyni się z pewnością w dużej mierze, że prezesem jej honorowym został profesor Leon Wyczółkowski, którego „Kwitnąca grusza" roztacza czar wiosny, i doskonałość niezrównaną techniki litograficznej. Na dobre też wyjdzie młodym artystom, że swym prezesem zrobili Tadeusza Cieślewskiego juniora, który od szeregu już lat pracując w drzeworycie i około szerzenia zamiłowania do grafiki w naszem społeczeństwie, opracował pięknie katalog opatrując go serdecznym wstępem. Mała ta książeczka wykonana w doświadczalnej pracowni graficznej Salezjańskiej Szkoły Rzemiosł w Warszawie, jest dowodem jak bardzo wysoko stoi sztuka drukarska, nad którą pieczę mają artyści graficy.



Bernard Frydrysiak. — Profil dziecka.

Oryginalne ryciny uzupełniają wykwintną całość katalogu.

Jadwiga Puciata-Pawłowska.

MAŁE NIEDOLE ŻYCIA TOWARZYSKIEGO

TE CO „NIE ŻYJĄ DLA SIEBIE"

Znamy je wszyscy. Krążą dookoła domów nawiedzonych przez nieszczęście, jak kawki i wrony nad pobojowiskami. Wścibskie, wszędobylskie, niedyskretne — potrafią przecie stać się niezbędnemi, w chwilach najcięższych okazywać bezcenne, niezapomniane usługi (tem trudniej przez to bywa ich się pozbyć).

Chętnie spędzają bezsenne noce przy chorych i umierających, często sobie prawie nieznanych. Zawsze są gotowe „wyskoczyć" po lekarstwo, choćby apteka była na przeciwległym krańcu miasta, a na dworze gołoledź i grad ze śniegiem. Rozdygotane, przeżywające do głębi cierpienie cudze, a zmęczenie własne — mają za nic.

Kiedy najbliżsi tracą głowy — one bywają przytomne za wszystkich. Telefonują po doktora, nie zapominają o księdzu, skwapliwie załatwiają formalności związane z pogrzebem; pedantycznie przestrzegając posępnych drobiazgów związanych z makabrycznym ceremonjałem. Chętnie pożyczają zaskoczonej katastrofą rodzinie czarnych sukien, welonów i krepowych opasek. Szafy ich zdają się czekać na taką sposobność — obficie zaopatrzone w żałobne akcesorja.

Istoty takie wydają się niezmiernie zafrasowane, o wszystko i wszystkich troskliwe, jakby się poczuwały do obowiązku opieki nad każdym przygodnym znajomkiem. Monotonnie i z lubością rozwodzą się nad niedolą bliźnich, komentują i referują przebieg choroby z zastraszającym realizmem szczegółów. Aktywność osób tych nie zna wytchnienia. One to bywają zwykle inicjatorkami składek na rzecz upośledzonych przez los (najczęściej bez wiedzy zainteresowanych; często wbrew ich woli); agitują, organizują pomoc zbiorową, ściągają datki w gotówce i naturze.

Czują się powołane do wyręczania Opatrzności, zdaniem ich mocno opieszałej. Do szczupłych i ubogich swych domostw przygarniają wszelkiego rodzaju życiowych rozbitków i niedołęgów, bez różnicy płci i wieku. Dzielą się z nimi dosłownie ostatnim kawałkiem chleba i talerzem zupy — z czego wynika ogólne niedożywienie, niezadowolenie i niewygoda.

Natrętnie polecają swych pupilów ofiarności publicznej; żebrzą dla nich o pożyczki, stypendja, posady. Ludzie normalni (żyjący dla własnej przyjemności) uważają te pełne samozaparcia opiekunki „chorych kacząt" za półwarjatki-półświęte, odczuwają w ich obecności coś nakształt zabobonnego lęku i o ile nie zdołają się wykręcić od spotkania z niemi — zwykli czynić wszystko czegokolwiek zażądają na odczepne.

Sympatyczny protegowany pożyczkę zazwyczaj w pierwszym dniu przepija; stypendjum obraca na cele zgoła inne niż ten w jakim zostało udzielone, a na posadzie wałkoni się tak, jakby mu zależało na wystawieniu cierpliwości chlebodawców na szczególnie dokuczliwą próbę.

Niech no kto spróbuje takiego wywalić, a bodaj zwrócić mu w sposób ostrzejszy uwagę... Wnet nadlatuje kawka-żałobnica nastroszona, z dziobem szeroko rozwartym, ziejąca świętem oburzeniem: — Syty głodnego nie rozumie! Niecny wyzyskiwacz za swe judaszowe srebrniki chciałby kupić duszę i ciało nędzarza, aż po najskrytsze zakamarki myśli, po ostatnią kroplę krwi i potu. Ordynarny zjadacz chleba krępuje skrzydła niebieskiego ptaka... Ale jest na takich kara Boska!

Baba gada, gada, gada... jak deszcz co pada, pada, pada... uderzając miarowo, rytmicznie o szyby. Człowiek który w nieopatrznym odruchu litości (i znudzenia) udzielił mało znanemu bliźnie-

mu pomocy, czuje się niecnym krzywdzicielem i... dałby chętnie drugie tyle, byle kracząca nad nim złowrogo wrona, zechciała nareszcie odlecieć.

Zdarza się przecie czasem, że pieczołowicie pielęgnowany chory nie umrze — natrętnie polecany pupil okaże się, wbrew spodziewaniu, dzielnym i pożytecznym pracownikiem. Co się wtedy dzieje z samozwańczą Opatrznością? Pewnie promienieje szczęściem, pęcznieje z słusznej dumy, że oto jej poświęcenia i trudy raz przynajmniej nie poszły na marne?

Nic podobnego — jest poprostu wściekła. Czuje się zawiedziona i zbędna. Nienawidzi powodzenia. Ona, rozwodząca się smakowicie w nieskończoność nad chorobą i opuszczeniem — pytania, o tych których udało się jej skutecznie wyciągnąć z szponów śmierci i nędzy, zbywa krótkiem: — Zdrów, ma dobrze płatne zajęcie — nie jestem mu już potrzebna.

Mogłoby to oznaczać żal z powodu niewdzięczności uratowanych. Bywa zapewne i tak, ale nie zawsze. Są tacy co z serca radzi odsłużyć, zrewanżować się chociażby po to by się wyzbyć nieznośnego ciężaru niespłacalnego długu. Więc owszem, usługi ich przyjmuje się ponuro i nieżyczliwie, jako należną daninę na rzecz innych wykolejeńców. Ale wrogość wewnętrznego nastawienia przez to się nie zmniejsza. Kawki-wrony żywią się padliną; nienawidzą zdrowego życia. Nie znoszą atmosfery szczęścia.

Zapewne kiedyś, we wczesnej młodości, zepchnięte z właściwego toru — nie zdołały już na swą drogę powrócić. Nie umieją już żyć życiem własnem; muszą wkręcać się, wśrubowywać w istnienia cudze, organizować i dezorganizować. Nie lubią zadowolenia; uśmiechniętego dobrobytu, pełnej zaufania miłości — wszystkiego co ma gładką powierzchnię, jest harmonijne, zamknięte w sobie, wykluczające pomoc z zewnątrz. Węszą rozkład, nadsłuchują rozdźwięków, wypatrują niecierpliwie rysy na cudzym spokoju — to stwarza dla nich atmosferę działania.

Aby czuć że żyją potrzebują cudzej niedoli i cierpienia. Twierdzą że im współczują, ale to kłamstwo. One na nich żerują.

Jadwiga Kiewnarska.

Z książek dla dzieci i młodzieży

KONKURS NA POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Konkurs „Płomyka" na powieść dla młodzieży przynosi znów zwycięstwo kobiecie!

Ze 180 nadesłanych prac pierwsze miejsce zajęła powieść pod tytułem „Chiński Dwór" pióra Jadwigi Korczakowskiej znanej autorki i współpracowniczki Tygodnika Kobiety. O książce tej zamieścimy obszerne sprawozdanie z chwilą, gdy ukaże się na półkach księgarskich.

„O wiewiórce Złotoskórce i szarakunieboraku" — A. Bogusławski i Walentynowicz, skład gł. Gebethner i Wolff.

P. K. O. propagując złotą zasadę oszczędności, pragnie trafić za pośrednictwem tej kolorowej książeczki i do najmłodszych obywateli. Autor i ilustrator wywiązali się z zadania b. dobrze. Reklama nie jest za jaskrawa, historyjka o oszczędnej wiewiórce i lekkomyślnym zającu pomysłowa, wiersz zręczny i łatwy, a wesołe obrazki świetnie go ożywiają.

A. Lubicz-Wolska „Kosmate łapki" —Skład gł. Dom Książki Polskiej.

Był czas, że w nowej literaturze dla najmłodszych królował niepodzielnie realizm. Unikano fantazji, chcąc, aby dzieci uczyły się trzeźwo patrzeć na życie. Dziś już ten pogląd uległ pewnej zmianie. Zrozumiano, że nieodłączny od dzieciństwa świat czarów nie jest pozbawiony wartości wychowawczych.

Ale mimo tego uznania dla bajek nie można przyjąć bez zastrzeżeń książki pani Wolskiej. Długa historja o zaklętych królewiczach, tańczących królewnach i szlachetnym grajku jest dość banalna i zamało atrakcyjna. Estetyczna zewnętrzna szata i styl kulturalny nie wystarczą do zjednania małych czytelników.

M. Kownacka — „Bajowe bajeczki" i *L. Krzemieniecka — O Niebieskich migdałach.* Wyd. Naszej Księgarni.

Bywalców zasłużonego teatrzyku „Baj" i miłośników kukiełek powinny zainteresować te tomiki, wraz z praktycznemi wskazówkami, jakie zawiera książeczka p. t. „Teatrzyk kukiełek" — będą cenną pomocą dla zespołów szkolnych.

M. Kownacka — „Kukuryku na ręczniku". — Wyd. Państwowe Książek Szkolnych.

Niektóre powiastki znamy z wzorowego tygodnika p. t. „Słonko". Autorka porusza w nich sprawę higjeny i porządku w codziennem życiu. Styl prosty i znajomość dziecięcych zainteresowań czynią tę pożyteczną lekturę zajmującą mimo wyraźnego morału.

M. Kownacka „Plastusiowy pamiętnik" — Wyd. Państwowe Książek Szkolnych.

Bardzo często piękne zabawki nie zastąpią dziecku jakiegoś prymitywu, związanego ze światem jego przeżyć. To też prawie każde już po przeczytaniu kilku stron „Plastusia" — chce mieć własnego ludzika z plasteliny, mieszkającego w piórniku, i to jest niezaprzeczone zwycięstwo autorki. Pokazała, że zna środowisko i rozumie dobrze dzieci. Wszystkie radości i kłopoty szkolne pierwszego oddziału, opisywane naiwnym stylem, widziane okiem „Plastusia", gumy-myszki, ołówka i t. d. — mają wiele szczerego wdzięku, ciepła i humoru, wpajając zasady porządku, koleżeństwa i dobroci — ożywiają urokiem zdrowej fantazji najbliższe otoczenie dziecka.

Sugestywne rysunki Bobińskiego uzupełniają tę jedną z najlepszych książeczek ostatniej doby.

W. Świerczyński „Artystyczne łamanki z papieru". Wyd. Św. Wojciecha.

Szczegółowe rysunki i objaśnienia podają szereg wzorów na bardzo tanie zabawki, które można wykonać przy pewnej dozie wytrwałości i uwagi. Od najłatwiejszych do bardziej skomplikowanych widzimy różne modele z papieru pomyślane prosto i ładnie.

Wzorki te napewno znajdą zastosowanie, jako „lekarstwo na nudy" dla chłopców, lubiących „majstrować".

Zofja Sikorska — „Dziewczyna z przewozu" — Wyd. Gebethnera.

Ta miła książka mimo swej polskości przypomina w nastroju lubiane tłumaczenia z angielskiego. Choć główna treść (znalezienie zaginionego dziecka) nie wnosi pomysłów nowych, powieść nie traci na wartości. Jest cały czas zajmująca, dzięki wielu barwnym urozmaiceniom. Różnorodność sytuacji, w jakich znajduje się Anielka, wprowadza czytelnika w krąg coraz to innych zainteresowań. Złotowłosa dziewczynka jest typową bohaterką, posiadającą zawiele może zalet... Ale to nas nie razi, bo autorka potrafiła tchnąć w jej postać ciepło naturalnego wdzięku. Niema w tych cnotach papierowego szablonu. Jest ludzkie zrozumienie codzienności i prawdziwa radość życia. Dlatego chętnie towarzyszymy Anielce w jej przygodach. Najwięcej wyrazu mają sceny związane z życiem rzeki i dobra postać starego przewoźnika. Styl bezpretensjonalny ładnie podkreśla realizm wielu spostrzeżeń i szczegółów.

Alina Kwiecińska.

OKNO NA ŚWIAT

CÓRKA NEGUSA RANNA

Imię księżniczki Tsahai, najmłodszej córki cesarza Haile Selassie, otaczają Abisyńczycy czcią i szacunkiem. Kochają młodziutką księżniczkę za jej pełną poświęcenia i odwagi samarytańską pracę.

Gdy tylko zaczęły się formować w Abisynji pierwsze oddziały sanitarne, księżniczka Tsahai natychmiast wstąpiła do szeregów sióstr miłosierdzia i jedna z pierwszych pojechała na front z kolumną sanitarną samochodową.

Za przykładem córki cesarza poszły wkrótce młode dziewczęta z najbogatszych i najznamienitszych rodzin abisyńskich. Z lekkiem sercem porzuciły wygodne i beztroskie życie i z zapałem, graniczącym z bohaterstwem, ratowały rannych i chorych. A przecież praca w Czerwonym Krzyżu abisyńskim jest o wiele trudniejsza i żmudniejsza niż w europejskich lub w amerykańskim C. K. Pomijając niezdrowy klimat, do którego Abisynki są przyzwyczajone, tamtejszy Czerwony Krzyż jest bardzo skąpo wyposażony w nieodzowne lekarstwa i narzędzia. Często nawet brak najniezbędniejszych leków. Przytem Abisynka po raz pierwszy w życiu spotkała się oko w oko z najnowszemi zdobyczami techniki wojennej...

Kolumna samochodowa, w której znajdowała się księżniczka Tsahai, przybyła niedawno do Dessie. Młoda dziewczyna pospieszyła do pałacu cesarskiego w chwili, gdy eskadra włoska, złożona z 7-miu samolotów rozpoczęła huraganowy atak na Dessie.

Głównym celem włoskich bomb był naturalnie pałac cesarski. Negus, kierując osobiście ogniem artylerji przeciwlotniczej, prosił podobno Tsahai, aby ukryła się przed niebezpieczeństwem. Dzielna dziewczyna odpowiedziała odmownie.

I nagle odłamek bomby zranił Tsahai, która przez cały czas bombardowania Dessie (atak trwał godzinę) nie odchodziła od ojca. Księżniczka upadła na ziemię, brocząc krwią. Cesarz nie pospieszył córce z pomocą. W dalszym ciągu ostrzeliwał włoskie samoloty.

Brak jest danych czy Tsahai śmiercią okupiła swoją odwagę czy też rana jej nie okaże się na szczęście śmiertelna.

Odwaga młodziutkiej księżniczki zagrzała do boju abisyńskich żołnierzy. Podniosła na duchu kobiety.

KOBIETY W LIDZE NARODÓW

W różnych komisjach i delegacjach w łonie Ligi Narodów zasiadają kobiety. Jest ich coprawda w sumie niewiele, szczególnie w stosunku do ogólnej liczby mężczyzn, ale niejednokrotnie zajmują poważne i odpowiedzialne stanowiska.

Najpoważniejsze funkcje na terenie genewskim, pełni 10 pań, przedstawicielek rozmaitych państw.

Hrabina Apponyi, wdowa po znanym polityku węgierskim, przewodnicząca piątej komisji Ligi Narodów, objęła sprawy społeczne. Hrabina Starhemberg reprezentuje w jednej z komisyj Austrję. W piątej i pierwszej komisji bierze udział Aleksandra Kołłontaj z ramienia rządu Z. S. S. R. Danja ma swoją delegatkę w osobie pani Forchhammer. Holandję reprezentuje p. A. Kluywer. Specjalistka od spraw finansowych w czwartej komisji, p. Malterre-Sellier, reprezentuje Francję. Przedstawicielką Anglji jest p. Horsbrugh, członek Izby gmin i inspektorka pracy. Z ramienia Szwecji w łonie Ligi Narodów zasiada p. Hesselgren. Litwę reprezentuje p. Ciurleonis. Polska ma swoją delegatkę w osobie p. Hubickiej.

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI...

Jeszcze niedawno była pierwszą kobietą na Litwie, żoną premjera Waldemarasa. Jeszcze niedawno schylały się przed nią wszystkie głowy w państwie, a gazety notowały każdy jej krok i słowo.

Odmieniła się fortuna. Ze szczebla najwyższej władzy spadł Waldemaras do głębi więziennego lochu. Majątek skonfiskowały władze. Przyjaciele polityczni odwrócili się od żony b. dyktatora. A na szpaltach dzienników, tych samych dzienników, które niedawno rozbrzmiewały hymnami pochwalnemi o małżonce premjera, ukazało się skromne ogłoszenie, że p. Waldemarasowa udziela lekcyj niemieckiego i francuskiego. Z adresu, podanego przez nią dowiedziano się, że do niedawna pierwsza kobieta na Litwie przeniosła się z eleganckiego apartamentu do ubożuchnego mieszkanka.

Sic transit gloria mundi...

BOHATERSKA MISS ALLEN

Jest dużo cichych bohaterek, których nazwiska zna tylko niewielka garstka ludzi. Ogół nic o nich nie wie i przeważnie nigdy się nie dowiaduje o ich czynach.

Do takich cichych bohaterek należy Florencja Alicja Allen. I jeśli nazwisko jej ukazuje się obecnie na szpaltach zagranicznych gazet, dziwi to w pierwszym rzędzie Miss Allen, która kategorycznie twierdzi, że nigdy w życiu nie popełniła bohaterskiego czynu!

Wysoka, szczupła, o niebieskich oczach, w których kryją się nieprzebrane skarby dobroci i łagodności, jest z zawodu pielęgniarką, i w roku ubiegłym pracowała w Quieta, w Indjach angielskich. Cicha, skromna, zawsze pogodna i wesoła, była kochana przez wszystkich, z którymi miał do czynienia.

W czerwcu r. u. Miss Allen obudziły w nocy silne grzmoty, niepodobne jednak do odgłosów zwykłej burzy. Gdy się tylko zorjentowała, że nie burza szaleje w Quieta, lecz nawiedziło je trzęsienie ziemi, wybiegła szybko z domu, który zaczął się już chwiać i walić. I nagle przypomniała sobie, że w domu tym zostało dwoje małych dzieci!

Nie namyślając się ani chwili, wbiegło spowrotem do domu. Nie bacząc na walące się sufity i pękające ściany, wydostała dzieci spod gruzów i wyrzuciła je przez okno na ręce zebranego tłumu. Samej jednak nie udało jej się uciec i upadła nieprzytomna na ziemię, pogrzebana szczątkami walącego się sufitu.

Na szczęście udało się uratować dzielną pielęgniarkę, która uległa złamaniu nogi, ręki i zgnieceniu żeber.

Trzy tygodnie przeleżała Miss Allen w namiocie na gołej ziemi, poczem przetransportowano ją samolotem do szpitala w Karachi.

Obecnie jest już zdrowa i pracuje w szpitalu w Londynie. Zapomniała o ciężkiej chorobie, tylko czasami w nocy męczą ją wspomnienia przeżytej katastrofy.

Jednakże o bohaterskim czynie Florencji Alicji Allen nie zapomniało społeczeństwo angielskie. I oto obecnie Miss Allen otrzyma pierwsza z rąk króla Edwarda VIII medal Alberta krzyża Wiktorji za bohaterstwo w czasie pokoju.

Bo nie tylko wojna rodzi bohaterów.

Argus.

OLIMPIJSKIE WALKI NARODÓW
W GARMISCH-PARTENKIRCHEN

Od specjalnej korespondentki Tygodnika Kobiety.

W ciągu dziesięciu dni pomiędzy 6-ym a 10-ym lutym b. r., obywatele 28-miu krajów, interesujący się nawet choć trochę sportem chwytając poranne i wieczorne dzienniki, szukali gorączkowo w dziale wiadomości sportowych z IV-ej Olimpjady zimowej w Garmisch Partenkirchen, odpowiedzi na niepokojące pytania;

— Kto dziś zwyciężył? Jak się powiodło naszym? Czy Sonia Henie została po raz trzeci mistrzynią olimpijską? Kto osiągnął najlepszy czas w sztafecie?

Amatorzy, znawcy sportu i sportsmeni, którzy nie mogli dostać się do t. zw. Ga-Pa (czyli po polsku Gapy), aby naocznie przyglądać się i przeżywać mocne wrażenia z olimpijskich zawodów, zostali zdani na łaskę, a raczej na zdolności reporterskie wysłanych do Garmisch dziennikarzy sportowych.

Przy odrobinie fantazji, czytając około 10-ciu gazet dziennie i słuchając pilnie transmisji w radjo, zarysowywało się w wyobraźni gwarne intensywne życie cichego zazwyczaj miasteczka położonego w pięknej szerokiej dolinie wśród masywu Alp.

Już na długo przed terminem rozpoczęcia zawodów poczęły się zjeżdżać wielojęzyczne tłumy.

Niemcy już od dwóch lat przygotowywały się do Olimpjady, to też organizacja cała przemyślana i przeprowadzona była znakomicie. Rozwiązano doskonale kwestje mieszkania, wyżywienia i komunikacji dla wielu tysięcy ludzi. Dobudowano wspaniałe urządzenia sportowe, ogromny stadjon narciarski dla 100.000 osób, stadjon lodowy funkcjonujący nawet przy 16 stopniach ciepła, tor bobslejowy, udostępniono szerokim masom publiczności przyglądanie się biegom długodystansowym łyżwiarskim na naturalnym torze na Riesersee.

Niewątpliwie Niemcy włożyły olbrzymie wkłady w organizację Igrzysk, ale też i obroty nietylko samego Garmisch ale i całego kraju musiały wzrosnąć stokrotnie w ciągu tych kilkunastu dni. Przyczem wzrosła popularność Hitlera, i tem samem rozszerzyła się propaganda Hitleryzmu.

Ten potężny zjazd ludzi, tłumy na ulicach, niekończące się sznury aut, hałas i atmosfera wiecznego pośpiechu i gorączki, nie wytwarza jednak nastroju zdenerwowania i złośliwości, przeciwnie utrzymuje się ogólny dobry humor i wyrozumiałość.

Miasteczko wygląda odświętnie i wesoło w powodzi zieleni i barwnych dekoracji na wszystkich domach. Prawie bez przerwy grają orkiestry, lub ryczą megafony nadające wyniki zawodów, a w przerwach taneczną muzykę z płyt.



KALEJDOSKOP OLIMPIJSKI: U góry narciarz niemiecki Willy Bogner składa przysięgę olimpijską w imieniu wszystkich zawodników.
Na lewo zwycięsca alpejskiej kombinacji niemiec mija chorągiewkę. W dole fragment z meczu hokejowego i ze skoków.

Tuż koło skoczni olimpijskiej na zboczach Gudibergu, na wysokiej wieży żelaznej płonie dzień i noc znicz, zapalony w chwili otwarcia igrzysk. Wygląda to wspaniale zwłaszcza w nocy, gdy na tle czarnych lasów i ubielonych szczytów migoce czerwony płomień.

Niedaleko wieży ze zniczem, na gigantycznym maszcie łopocze na wietrze biały sztandar z pięcioma kołami, symbol olimpijski zbratania pięciu części świata.

Każdy dzień przynosi rewelacyjne wiadomości z terenu bezkrwawych walk. Dzienniki niemieckie wydają dwa, trzy razy dziennie nadzwyczajne dodatki, wyniki zawodów rozegranych rano pojawiają się jeszcze tego samego dnia z ilustracjami wieczorem.

Czasem godziny, pełne emocji mijają jak chwile a sekundy pełne napięcia i oczekiwania stają się długie.

W szaleńczym slalomie, szlakiem wytyczonym chorągiewkami, najpierw jeden potem coraz więcej ciemnych punkcików. W błyskawicznym pędzie zatraca się kształt sylwetek. Publiczność zamarła w oczekiwaniu. Kto pierwszy? — Za chwilę po ogłoszeniu wyników wybijają się w niebo entuzjastyczne okrzyki. — To Niemiec, Pfnuer zwyciężył w kombinacji alpejskiej panów, a w konkurencji pań Niemka, Christlkranz.

Pomimo zimna i sypiącego śniegu widzowie szczelnie zapełniają trybuny na lodowisku. Tempo gry i zaciętość obu partji przykuwają uwagę. Ryki podekscytowanej publiczności nie ustają. Sen-

sacja niebywała. Anglja zwyciężyła wielokrotnego mistrza świata Kanadę!

Konkurs sztucznej jazdy na łyżwach, gromadzi wielu amatorów tego pięknego sportu. Znowu bezkonkurencyjną okazała się ogólna ulubienica Sonja Henje. Nie można oprzeć się zachwytom patrząc na jej płynne taneczne ruchy, chwilami fantastycznie szybkie. Sonja Henje jest najpopularniejszą olimpijką. Opowiadają legendy o niesłychanej surowości jej ojca, o wielkiej ilości jej pięknych toalet, o jej wesołości i dowcipie. Złoty medal za sztuczną jazdę parami otrzymali również zawodnicy niemieccy: Herber i Baier.

W jeździe szybkiej mistrzem został Norweg: Balangruud, zagarniając trzy złote medale. Naszemu jedynemu reprezentantowi tej konkurencji Januszowi Kalbarczykowi udało się pobić rekord polski na 5 i 10 klm. jednak w ogólnej klasyfikacji zajął 12 i 9 miejsce.

Narciarskie długie biegi i sztafeta 4 × 10 klm. wykazała wybitną przewagę skandynawskich zawodników, nad środkowo-europejskimi. Mistrzami zostali w sztafecie Finnowie, w Maratonie (bieg na 50 klm.), i w osiemnastce, Szwedzi, w kombinacji norweskiej, Norwegowie.

Polscy zawodnicy sukcesów wielkich nie odnieśli. Jedyne dwa punkty dla Polski zdobył Staszek Marusarz, zajmując w skokach otwartych 5-te miejsce, a drugi co do długości skok, i dostając się w ten sposób do elity skoczków świata. W hokeju Polacy odpadli na trzeci dzień rozgrywek przegrywając z Kanadą i Austrją. W sztafecie zajęła polska drużyna 7-e miejsce, w kombinacji Alpejskiej St. Marusarz był 7-my. W innych konkurencjach narciarskich polskie barwy znajdowały się raczej daleko.

Oczywiście nie można tu winić zawodników polskich, wyłożyli oni wiele trudu i wykazali bardzo dobrą postawę. Możnaby w ich obronie przytoczyć wiele okoliczności łagodzących: brak śniegu do treningów w kraju, najlepsi byli zawsze chorzy, wreszcie pechowe trzynastki...

Trzeba jednak mieć odwagę cywilną i powiedzieć sobie, że sport polski idzie po bezdrożach. Pewność sukcesów może mieć tylko kraj posiadający dużą ilość zawodników reprezentacyjnych, a nie kilku hodowanych tylko do Olimpjad. Osiągnie się to wtedy, gdy sport pójdzie po linji umasowienia, gdy kadry kandydatów na olimpijczyków zostaną rozszerzone.

16 lutego zgasł płomień na wieży, spuszczono olimpijski sztandar, piękna, podniosła uroczystość zakończyła IV Igrzyska Olimpijskie.

Opuściły miasto Pięciu Kół Olimpijskich różnojęzyczne drużyny sportowe. Zwycięskie zawiozą do swych krajów zdobyte złote medale, zwyciężone wrócą z zapałem i energją do rozpoczęcia niezwłocznych przygotowań się do Olimpjady następnej, z mocnem przekonaniem że za 4 lata na maszcie olimpijskim podniosą się sztandary ich państw.

H. Iw.

ZE SREBRNEGO EKRANU

Charles Laughton, znakomity aktor angielski, który z takiem mistrzostwem odsłonił przed nami „Prywatne życie Henryka VIII“ (film ang. reż. A. Kordy), dzisiaj pokazuje nam „prywatne życie“... lokaja (*„Arcylokaj“*). Specjalnie o tym lokaju możemy wyrazić się w ten sposób, gdyż nie jest to lokaj z przypadku, lecz swego rodzaju pomazaniec boży, jedno ogniwo w długim łańcuchu lokajskiej dynastji, ktoś, kto uważa służenie swemu panu za posłannictwo, do którego jest przeznaczony i powołany. Tak jest na gruncie europejskim, w Londynie i Paryżu. Dopiero zetknięcie się z amerykańską demokracją (chlebodawca lokaja, lord, przegrywa go w pokera do amerykańskiego miljardera z Dalekiego Zachodu) wyzwala z naszego bohatera innego człowieka, człowieka naprawdę wolnego, zarówno od ciążącej na nim tragedji służenia komuś, jak i związanych z tem europejskich przesądów. Ten oryginalny i wielce zabawny scenarjusz, będąc pochwałą ustroju, który scenarzysta uważa za jedyny prawdziwie demokratyczny, jednocześnie wyśmiewa amerykański snobizm, reprezentowany przez tamtejszą „provincial lady“ i jej przyjaciół. To też film obfituje w wesołe sceny o subtelnym dowcipie, świetnie i inteligentnie wyreżyserowane i zagrane przez znakomity zespół z Laughtonem na czele. W „Arcylokaju“ witamy pierwszą amerykańską komedję społeczną, której charakter nie jest ściśle lokalny, jak to bywało dotychczas.

Za to *„Osaczona“* przenosi nas na grunt czysto amerykański — w domenę gangsterów. Gangsterzy w filmie amerykańskim odgrywali już różne role: bywali romantycznymi bohaterami i bohaterami sensacji. bywali „wrzodem społecznym“ i tematem do satyry na organizację służby bezpieczeństwa, publiczność i — prasę (jak to widzieliśmy ostatnio w dowcipnym i doskonale zrobionym filmie p. t. „Całe miasto o tem mówi“). W „Osaczonej“ niema nic z tego; gangster przeszedł już widocznie do stałej rekwizytorni filmowej, z której się czerpie materjał do filmów wyrabianych masowo, jedynie w celu zaspokojenia głodu wrażeń szerokiej publiczności (i to — amerykańskiej), szukającej w kinie tylko rozrywki.

To też nie rozczula nas zbytnio Sylwia Sydney, jako ofiara gangstera i... niezupełnie uczciwie prowadzonej rozprawy sądowej. Nie doszukujemy się tu ani prawdy społecznej ani psychologicznej, bo jest to przecież „tylko kino“ — historja jakich się widzi wiele i które się zaraz zapomina, chociaż reżyserja, gra i zdjęcia — jak zwykle w wytwórni „Paramount“ — są na przyzwoitym poziomie.

Film *„Becky Sharp“* może poszczycić się trzema gwiazdami: Thakeray (scenarjusz jest przeróbką jego znakomitej



Sylvia Sydney w filmie „Osaczona“.

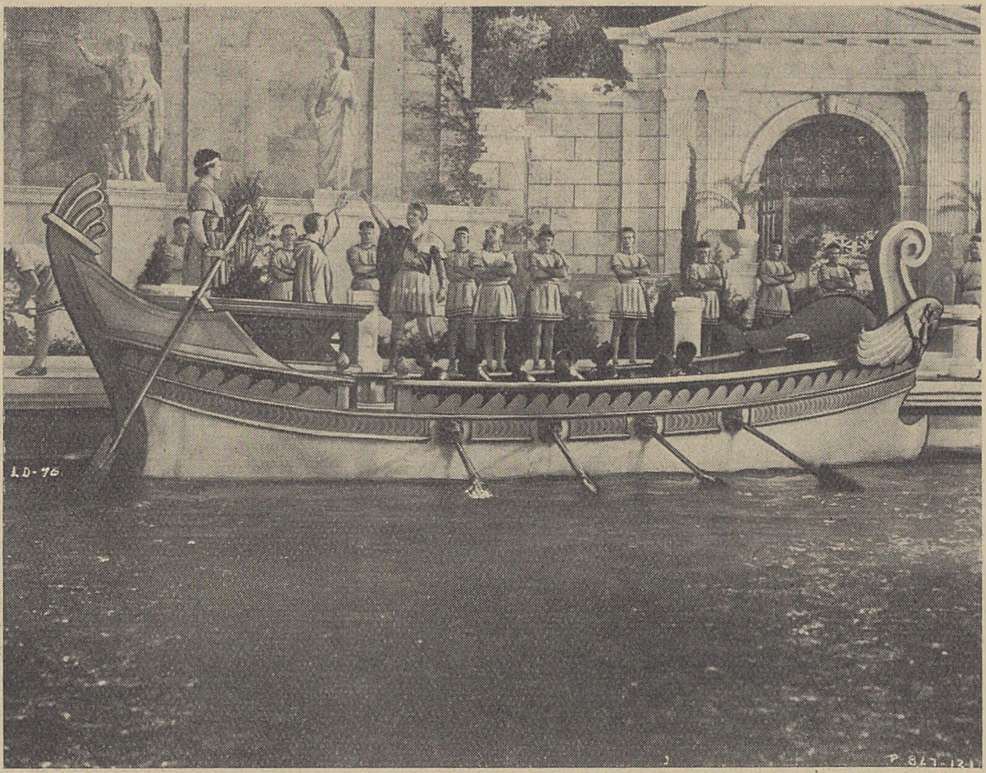
powieści „Vanity fair"), Mamoulian (reżyser) i Miriam Hopkins, odtwórczyni głównej roli, jedna z najinteligentniejszych aktorek amerykańskich. Ale rozgłos tego filmu ma zupełnie inne źródło, a trzy gwiazdy są tylko dodatkiem do reprezentowanej przez „Becky Sharp" rzekomej rewolucji technicznej: film jest w naturalnych kolorach, zrobiony jakimś nowym systemem, który miał skazać na zagładę film czarno-biały. Jednakże zakulisowe sprawy produkcji powstrzymały masowy wyrób filmów kolorowych i jeszcze przez jakiś czas będziemy musieli zadawalniać się na ekranie rzeczywistością czarno-białą. Nie jest to wielka strata. Wprawdzie ten pierwszy film w barwach naturalnych jest lepszy od pierwszego dźwiękowca, ale do malarskich kompozycji wiedzie jeszcze długa droga. Dobre efekty dają różnego rodzaju materje — aksamity, jedwabie i koronki nabierają dzięki kolorom, połysku i lśnienia, miękości i mięsistości, zależnie od swych właściwości, ale twarze wciąż jeszcze przypominają woskowe lalki. Tak więc na przestrzeni całego filmu zaledwie kilka scen daje zadowolenie, wywołane grą kolorów, do czego przyczyniają się śliczne empirowe stroje (bal, odjazd oficerów w czerwonych pelerynach).

„Becky Sharp" to opowieść o genjalnej „arrivistce" z czasów pierwszego cesarstwa, prototyp dzisiejszych trampów, a raczej „golddiggerek", lustro, w którem niejedna współczesna zawodniczka w wyścigu próżności i użycia odnajdzie swoje rysy.

Miriam Hopkins potrafi ze specjalnym kunsztem prowadzić djalog, w którym słowa są czemś więcej niż komentarzem do akcji. Inna kwestja, że właśnie ów djalog, w którym jest tyle złośliwej ironji, obciąża film i przenosi go na płaszczyznę teatru. Reżyser wprawdzie stara się teatr ten skinetyzować, tam gdzie sytuacje i tekst na to pozwalają, ale udaje mu się to nieczęsto. „Becky Sharp" to jednak tylko teatr filmowy.

Dawno już minęła moda na filmy t. zw. „monumentalne", kiedy to wytwórnie przelicytowywały się w wyliczaniu ilości statystów biorących w nich udział oraz w wysokości sum, które dany film kosztował. Od tego czasu sztuka filmowa uległa znacznemu pogłębieniu i „operowy" historyzm, z tłumami i kostjumami już nam nie wystarcza. Wyjątek można zrobić tylko dla „wielkiego kaznodziei ekranu" Cecil B. de Mille'a, który swe wizje przeszłości, rzucane na ekran z niezwykłym rozmachem, umie nasycić dynamiką, porywającą widza i dającą mu dużo wrażeń prawdziwie kinetycznych, a często i malarskich. O wskrzeszeniu mody na film monumentalny pokusiła się amerykańska wytwórnia R. K. O. Radio Films w obrazie „Ostatnie dni Pompei" (reż. Schoedsack). Sądząc z przepełnionego kina, „szczepionka" się przyjęła, chociaż jeżeli to powodzenie mamy przypisać głodowi „widowiska", to trzeba przyznać, że film obciążony jest grzechem, którego dawne „monumentalne" obrazy nie posiadały, mianowicie — djalogiem, co znów rekompensuje nielada sensacją — trzęsieniem ziemi. Fabuła (nie mająca nic wspólnego ze słynną powieścią o tym samym tytule) ma bardzo szlachetną tendencję (w tem przypomina Mille'a) — wykazanie znikomości ideałów świata pogańskiego wobec rodzącej się idei chrześcijaństwa; reżyserja jest naogół staranna i ma nawet kilka scen bardzo ładnie pomyślanych (spotkanie z Chrystusem, idącym do Jerozolimy i później na Golgotę, bez ukazania Jego postaci. To, co prawdopodobnie najbardziej pociąga publiczność — odtworzenie katastrofy wybuchu Wezuwjusza i trzęsienia ziemi, może zadowolnić tylko częściowo. Walące się budynki i rozstępująca się ziemia, zrobione nie o wiele gorzej, widzieliśmy przed laty w niemym filmie włoskim (na ten sam temat), chociaż ówczesna technika filmowa stała o tyle niżej. Rozpadające się mury, dalej nie mają należytej wagi, ażeby robić wrażenie prawdy. Znacznie lepiej wypadł Wezuwjusz w stanie czynnym, a najlepiej — strona architektoniczna i kostjumowa, nad którą widać czuwali specjaliści. W każdym razie, siła emocjonalna tego filmu nie stoi w żadnym stosunku do sumy wysiłków i pieniędzy, jakie pochłonął. Jednakże film taki spełnia pewne zadanie wychowawcze i szerokim masom można go polecić, jako „sensację", bądź co bądź, szlachetniejszego gatunku, stanowiącą dobrą przeciwwagę dla wszelkich „niesamowitości".

es—ha.



Ostatnie Dni Pompei.

DWA SYSTEMY

Choć mało się wie i słyszy o przeważnie tajnych przygotowaniach państw do obrony ludności cywilnej na wypadek przyszłej wojny lotniczo-gazowej, jednak zarysowały się już w tych metodach dwa dość skrajne kierunki.

Jeden to jakby „laisser-fairyzm". Państwo uznaje inicjatywę prywatną obywatela, daje mu pewne wskazówki i pozostawia resztę jego przedsiębiorczości. Ta grupa państw opiera obronę ludności przeważnie na ewakuacji jej z miejsc zagrożonych. Miejsca zagrożone to miasta. Ewakuacja ta ma być raczej dobrowolna (Włochy).

Bardzo to niepokojąco wygląda. Bliskie okolice wielkiego miasta nie pomieszczą ludności ewakuowanej. Do dalekiej dotrzeć nie starczy czasu. Drogi zajęte będą przez tabory wojsk, będzie na nich panował tłok, popłoch i nieporządek. Mimo przepisów nikt „spokojnie" nie uda się do obronnego osiedla podmiejskiego. Wobec groźby nalotu wszyscy będą się śpieszyć i tłoczyć. Ani też idea udania się na wieś „zawczasu" nie trafia do przekonania. Jeśli wojna lotniczo-gazowa wybuchnie nagle, to „zawczasu" oznaczać będzie zaledwie kilka godzin, dzielących miasto od napadu

gazowego. W interesie państwa leży nie dopuścić do destrukcji i paniki. Dlatego państwa te, które chcą polegać tylko na przemyślności obywatela, będą miały ciężkie chwile, gdyż będą musiały jednak objąć nad ewakuacją czy obroną w miastach komendę i to w najgorętszej, ostatniej chwili. Odsuwanie przez nie odpowiedzialności za bezpieczeństwo obywateli na plan dalszy, będzie je kosztować wiele trudu i ofiar.

Druga grupa państw opracowuje plan szczegółowy i za metodę obrała sobie nakaz. Nakaz ten, zależnie od zdyscyplinowania narodu, jest prawny lub moralny.

System nakazu tam tylko jest możliwy, gdzie państwo zgóry daje obywatelowi plan i kierunek obrony przeciwlotniczo-gazowej. Niema mowy o odsuwaniu odpowiedzialności. Państwo ponosi odpowiedzialność za plan, ale za jego wykonanie i za zależne od wykonania powodzenie, odpowiedzialny będzie każdy obywatel. Panuje tu zatem równowaga.

Chodzi już tylko o to, czy obywatel chce zrozumieć potrzebę karności. Czy rozumie, że podczas wojny lotniczo-gazowej jego strach może wywołać wielką panikę. Jego błędne postępowanie — śmierć jego i rodziny, stratę mienia, zniszczenie domu. Jego nieumiejętność — wielkie straty w ludziach.

Jeśli rozumie odpowiedzialność roli każdego obywatela w wielkiej organizacji obronnej, napewno zechce być karnym, jak karnym jest żołnierz w armji.

To jednak nie wystarczy. Państwo nie wymaga ślepej karności—daje możność przygotowania się do ciężkich zadań zawczasu.

Żeby tylko obywatel naprawdę chciał, ma możność słuchania kursów OPLG. od najpopularniejszych, potrzebnych każdemu, aż do zupełnie specjalnych.

Gdy się tak odmienia tego odpowiedzialnego obywatela przez wszystkie przypadki, trzeba sobie uświadomić, że mowa jest przedewszystkiem o obywatelce. Obywatelem cywilnym podczas wojny będzie kobieta.

Jednak wiele kobiet utkwionych po uszy w codziennych sprawach domowych nie chce słyszeć o nauce obrony.

Niemcy, Sowiety, Anglja mają już do rozporządzenia kadry kobiet począwszy od zwykłych pomocnic przy obronie domu do wykwalifikowanych drużyn. W Polsce nie jest gorzej. Drużyn mamy wiele. Tylko kobieta domowa i rodzinna, której właśnie najwięcej zależeć powinno na obronie domu i dzieci, zachowuje się wobec haseł szkolenia najbierniej. Na kobiety te czekają kursy popularne, organizowane w wygodnych godzinach. A kursy takie popularne dla kobiet w Polsce są organizowane stale przez wszystkie Okręgi Wojewódzkie i Obwody Powiatowe L. O. P. P.

A. Solska.

Z refleksyj kosmetycznych

KOBIETA 50-LETNIA

Epokę, w której kobieta 50-letnia z rezygnacją godziła się ze swem „miejscem odosobnienia“ na honorowej kanapie, dawno już zasnuł swą pajęczyną czas. Dziś i ten rubikon wieku staje się niejednokrotnie nikłym zaledwie strumykiem na drodze jej życia, który przekroczyć nie jest tak znów trudno, i to bynajmniej nie w drodze jakichś niewczesnych symulacyj, ale spokojnym i równym krokiem.

O wielu rzeczach trzeba w tym razie pamiętać, ale oczywiście w pierwszym rzędzie niewolno tracić z oczu zasady, że „jak cię widzą“... Otóż, aby to co „widzą“ jak najmniej opowiadało o metryce, kobieta 50-letnia pamiętać powinna o pewnej kulturze swego ciała, polegającej przedewszystkiem na ćwiczeniach ruchowych, przy których unikać jednak trzeba wszelkiego wysiłku czy śpiesznego rytmu. Godnemi zalecenia będą tu ruchy polegające na wyciąganiu się ciała wzdłuż, w pozycji leżącej, na podłodze, z płaską poduszką pod głową. Użytecznym być może również automasaż kończyn dolnych, w tejże pozycji, przy którym, zbliżywszy podudzie do piersi, ujmuje się je obu rękami u pięty, poczem, wyprostowuje się nogę wgórę, zaś ręce, wywierając pewien nacisk, przesuwają się wzwyż poza kolana. Ręce winny być przytem powleczone, tłuszczem lub talkiem, a samo ćwiczenie, dla każdej nogi, powtarza się 10 razy. Po kąpieli dobrze jest wytrzeć podudzia ręcznikiem, zmoczonym w zimnej wodzie.

Kąpiele powinny być letnie, z następczem natarciem ciała płynem tonizującym przy pomocy szorstkiej rękawiczki. Masaż ogólny, parę razy tygodniowo, również pożądany i dobrze robi. Zasadniczem ćwiczeniem ruchowem kobiety 50-letniej będzie ponadto codzienna przechadzka, trwająca niemniej niż godzinę. Ale to jeszcze nie wszystko: pamiętać ona musi jak najbardziej o pogodzie ducha, nie zapominając, właśnie w trudniejszych zwłaszcza momentach życia, że złość, nieżyczliwość, kwaśny humor, brak opanowania są bardzo silną trucizną kosmetyczną.

Unikając nagłych zmian dyety, trzeba jednak stopniowo starać się jadać trochę mniej, ograniczając zwłaszcza ilości mięsa, uwzględniając natomiast więcej owoce i jarzyny. Ma się rozumieć żadnego alkoholu, w jakiejkolwiek postaci. Szczegółowsze wskazówki co do dyety, jak i co do ogólnego stanu zdrowia, co ważnem jest przy ćwiczeniach ruchowych, należą już do kompetencji lekarza.

Przechodząc na teren kosmetyczny w ścisłem znaczeniu tego słowa, zastanówmy się, co w jego zakresie zalecić można kobiecie w tym wieku, już cokolwiek trudnym. Traktując skórę jej twarzy jako przeważnie suchą położyć trzeba nacisk na systematyczne codzienne stosowanie tłustych kremów odżywczych, a zwiotczenie szczególniej dolnych jej części zwalczać płynami tonizującemi; zaś drogą metod fizykalnych w dobrze postawionym zakładzie kosmetycznym — jak racjonalne masaże twarzy, ręczne elektryzacje, naświetlania, natryski włoskowate i t. p. — pobudzać krążenie w tkankach skóry.

Ze środków domowych, dla doraźnego wygładzenia drobnych zmarszczek na czas krótki, nadaje się prosty środek, mianowicie ubite na pianę białko jaja, do którego dodać łyżeczkę oliwy nicejskiej i szczyptę ałunu. Przy pomocy pędzla powlakamy tą pianą twarz uprzednio umytą i nasyconą kremem odżywczym, pozostawiamy ją tam przez jakieś 15 — 20 minut, poczem spłókujemy czystą wodą o temperaturze pokojowej, osiągając zazwyczaj rezultat wcale niezły. Dla przeciwdziałania podkowom sinym pod oczami wskazać można esencję herbaty w postaci nakładanych rano i wieczorem lekko ciepłych kompresów. Przed położeniem kompresu okolice oczu nasycić również kremem odżywczym.

Co do maquillage‘u, to osobom, które liczą sobie, a raczej, które wyglądają — bo bywa, że niełatwo to zgadnąć — na lat 50, proponowałabym jak najdalej idące umiarkowanie, starając się raczej o dobrze pojętą ogólną wytworność stroju i postaci, niż o cokolwiek silniejszy akcent sztucznego efektu, w tym razie już ryzykowny. Tembardziej dotyczy to barwienia powiek i rzęs. Róż do ust winien być dyskretny, ciemny, o tonie zlekka niebieskawym. I jeszcze uwaga co do pudru: kobieta w okresie, kiedy ma już trochę zmarszczek, więcej jeszcze niż przedtem musi się wystrzegać, aby puszkiem czy watą go nie wcierać w skórę twarzy i szyi, a starać się go wbijać, bo wtedy jedynie łączy się on w pożądaną całość z karnacją cery, łagodząc przytem ostrość jej defektów.

A przestrzegając wszystkich tych ostrożności, zwłaszcza przy żywym umyśle, dobrem zdrowiu i szerszych horyzontach życia, 50 lat nie jest znów taką wadą urody niewieściej, o której wogóle wartoby dłużej mówić.

Magdalena Poznańska.

Odpowiedzi na zapytania z dziedziny kosmetyki udziela P. Magdalena Poznańska za przesłaniem znaczka pocztowego.

Wszelką korespondencję „Kosmetyczną“ prosimy kierować pod adresem: M. Poznańska — Warszawa, Mokotowska 52.

REDAKCJA.

MĘSKA KAMIZELKA SPORTOWA

WEŁNA POLO FIRMY

„TRÓJKĄT W KOLE"

Druty Nr. 3 i Nr. 2





Serwetka pozszywana na tiulu

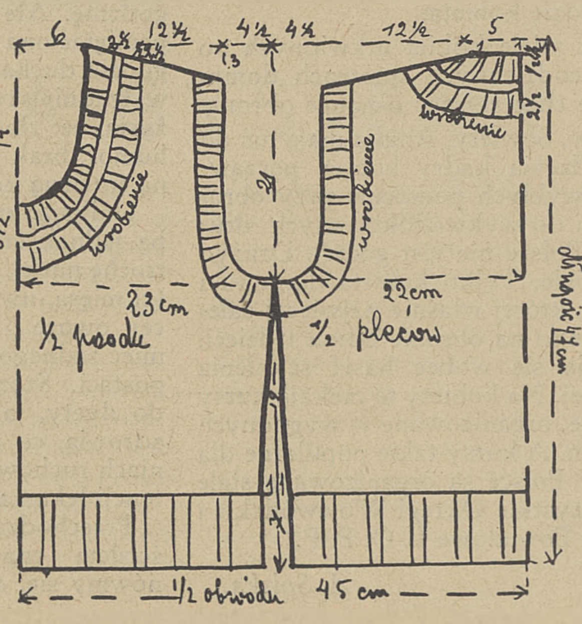
Ściągi i ściągacze: 2 oczka prawe i 2 oczka lewe. Wrobienia: 2½ cm. ściągaczem. 4 rzędy francuskim (zawsze na prawo) i 2½ cm ściągaczem.

Całość 1 rząd. 2 prawo, 1 lewo, 1 prawo, 1 lewo
2 rząd. Cały lewy.
3 jak 1 rząd.
4 jak 2 rząd.
5 i 6 rząd ściegiem francuskim.

Przód: nabrać na cienkie druty 100 oczek i przerobić ściągaczem, następnie przejść na grube druty i właściwym deseniem przerobić jeszcze 19 cm. Na pachę opuścić kolejno z każdej strony 8, 6, 4 i 2 oczka. Wtedy od strony pachy należy robić równo, a robotę dzielimy na 2 części opuszczając od strony wycięcia 10 oczek, a następnie po 2 oczka aż zostanie 20 oczek wtedy robimy równo, aż robota licząc od początku będzie mieć 45 cm, w tym momencie zamykamy na ramię 4 razy po 5 oczek.

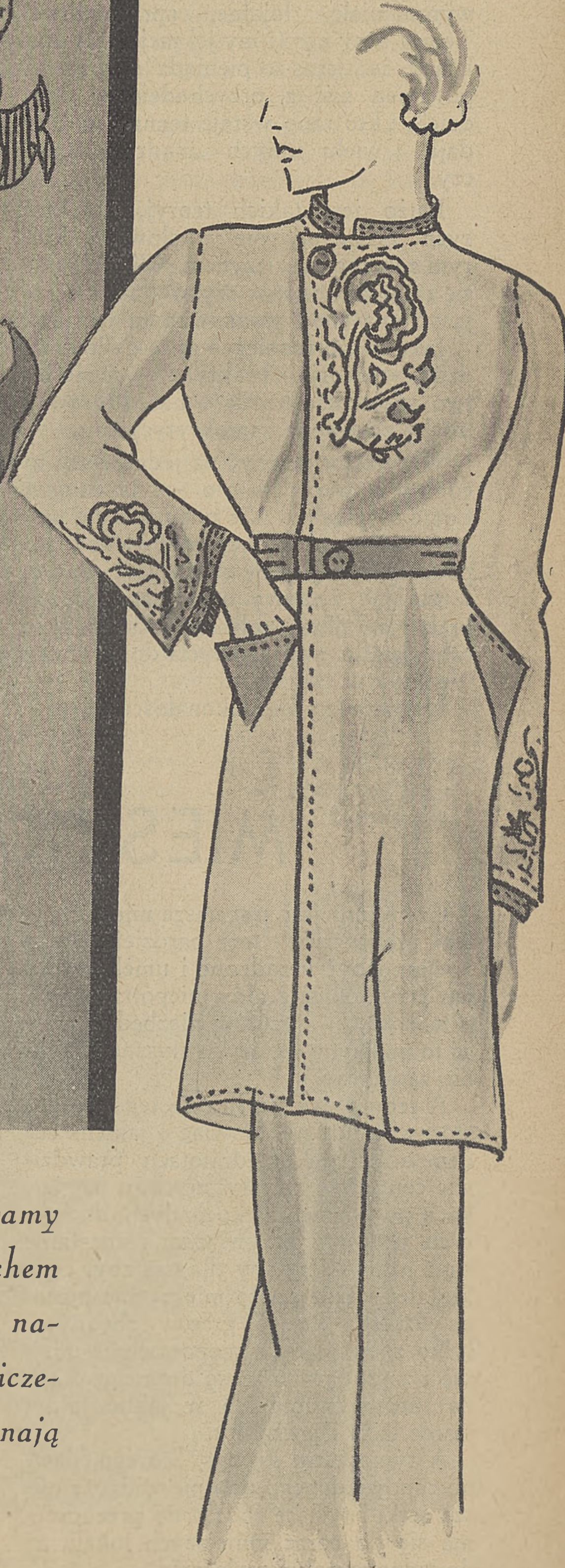
Plecy zaczynamy na 90 oczek, postępujemy tak samo jak przy przodzie (oczywiście bez wycięcia) aż robota ma 40 cm. Wtedy dzielimy robotę na dwie części zamykając najpierw 10 oczek ,a potem po 5, aż robota ma 20 oczek, i ramiona zamykamy, jak przy przodzie.

Wrobienia przy wycięciu robimy na swetrze, nabierając oczka na druty Nr. 3 ,któremi przerabiamy pierwszy ściągacz i ścieg francuski, drugi ściągacz robimy drutami Nr. 2 starając się oczka coraz bardziej ściągać. Wrobienia przy rękach robimy odrazu na drutach Nr. 2.



WYSZYWAMY PYJAMĘ





Na białej z flory lub płótna lnianego pyjamie, wyszywamy oryginalny wzór tatarski. Haft płaski nićmi mouliné i szychem złotym lub srebrnym. Nieregularność i rozmaitość kształtów nagromadzonych, ale powiązanych w zwartą i pełną sensu zdobniczego barwną plamę, to cecha i urok wschodnich haftów. Zaczynają one znowu wdzierać się zwycięsko do stroju modnej pani.

EWA.

W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

TEORJA I PRAKTYKA

Teorja i praktyka nie chodzą jednemi drogami i to jest najczęściej przyczyną tylu przykrych niedoborów dnia powszedniego.

Bo w teorji umiemy być: opanowane, wyrozumiałe, lojalne, sprawiedliwe. Teorja uczy nas (i my jej rację przyznajemy), że: „czas to pieniądz"; „rozchód powinien żyć z przychodem w zgodzie"; „kto rano wstaje temu Pan Bóg daje" i wielu innych „mądrych" rzeczy.

Dużo jest takich teoryj, do których skłaniamy się w słowach, którym zaprzeczamy czynem. Więc ciągnie się za nami koszmar czynów, zaprzeczających na efekt wyznawanym teorjom.

Jak bardzo rozbieżne są te dwie dziedziny — teorja i praktyka — może łatwo stwierdzić każda z nas, która ma trochę zdrowego samokrytycyzmu.

Wystarczy położyć na jednej szali to co być powinno — na drugiej to co jest. Nie pomoże tutaj niestety, ani zasób praktycznej wiedzy, ani pouczający wgląd w cudzą gospodarkę, w cudzą „życiową organizację" jeżeli brak nam silnej woli do podciągnięcia całokształtu swojego życia do pewnego ideału.

Nie mówmy o doskonałości.

Na doskonałość zdobyć się nie łatwo. Niech nam wystarszy pewna poprawność ustosunkowania teorji do praktyki. Niech wszystkie mądre, rozważne zdania, wygłaszane tak łatwo i chętnie tam gdzie w grę wchodzą cudze sprawy, znajdą zastosowanie i w naszem życiu.

Bo nic łatwiejszego jak krytykować, nic trudniejszego jak postępować tak, aby nie zasłużyć na krytykę. A najtrudniej prześwietlić uczciwie i bezstronnie własne postępowanie.

Chcąc żyć w zgodzie z teorja, którą każda myśląca i przygotowana do życia kobieta powinna umieć dostosować do praktyki, trzeba przedewszystkiem zerwać z jedną wielce szkodliwą przywarą: nie winić wiecznie i bezustannie okoliczności — winić przedewszystkiem siebie. Nie nałogowo, nie z urzędu, a na skutek uczciwego rachunku sumienia.

Okoliczności, okoliczności!

Jakże łatwo zrzucić na ich barki calą odpowiedzialność za własne i cudze, podporządkowane nam, bytowanie.

Okoliczności zawsze składają się fatalnie dla tych, którzy płyną biernie z prądem, są wyzuci z energji przeciwdziałania, zwalczania ich, są nieodpowiedzialnymi budowniczemi.

Wystarczy jednak, aby te same okoliczności zdezorganizowały, czy zburzyły czyjś spokój wewnętrzny, czyjeś życie domowe, znajdzie się w pogotowiu cała masa szumnych teoryj, którym ten biedny rozbitek mógł się podporządkować, salwując swój byt i spokój, gdyby posłuchał nas w porę.

W teorji wszystko wydaje się proste i łatwe. Może właśnie dlatego tak nieudolnie zabiegamy o to, aby teorja z praktyką były niby para doskonale dobranych koni, które ciągną wóz z jednakową sprawnością, z jednakowem nasileniem.

Ten zasadniczy rozłam, który kosztuje nas nieraz tyle gorzkich przeżyć nie jest przejawem łatwym do zwalczenia. Tylko mozolna praca nad samą sobą, tylko docenienie konieczności zużytkowania wszystkich zasobów wiedzy i doświadczenia, w samoobronie przed „okolicznościami", może dopomóc nam do zorganizowania dni, a zatem i całego składającego się z nich życia, w sposób możliwie najmniej ciężki do podźwignięcia.

Teoretyczne wywody nie osuszą łez, które już płyną, ani krwi co się sączy z serdecznej rany.

Teorji nie sądzone być lekarstwem — jej rola jest ściśle zapobiegawcza, ale i to tylko wtedy jeżeli w porę zdołamy ją poprzeć praktyką.

Wanda Dobrzańska.

MIESZKANIE JEDNOIZBOWE

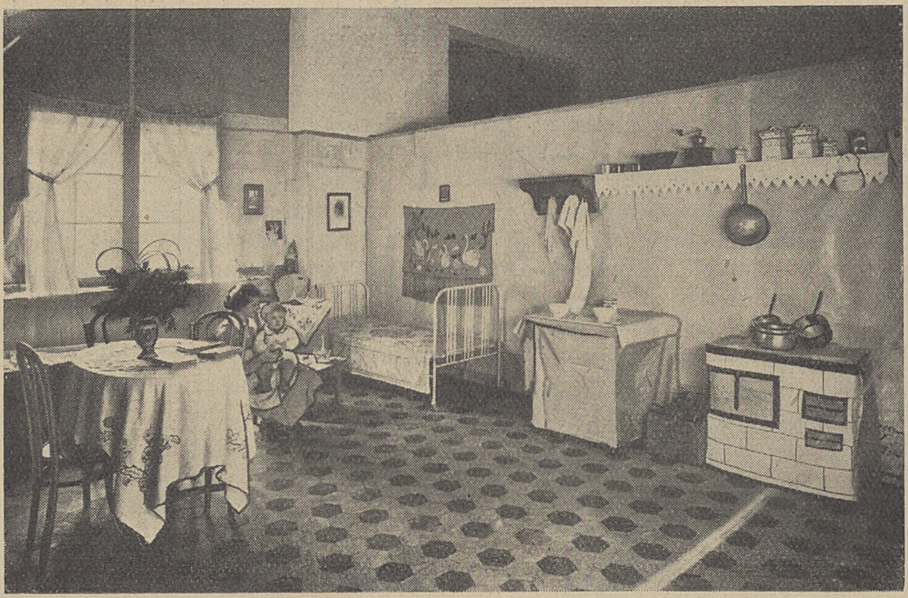
Czem mniejsze jest nasze mieszkanie, tem praktyczniej, tem bardziej celowo powinno być urządzone i umeblowane, tem mniej mieć gratów niepotrzebnych, a tem więcej sprzętów niezbędnych — są to maksymy, których słuszności nikt nie zaprzeczy.

A jednak jak trudno do tego się dostosować. Już nie mówiąc o jakichś cudem ocalałych przedmiotach prawdziwie cennych i artystycznych, o pamiątkach po bliskich i ukochanych, do których jesteśmy przywiązani i rozstanie się z którymi byłoby dla nas zbyt ciężkie, ileż każde nasze mieszkanie posiada (często kryje) gratów zbędnych, tylko zabierających niepotrzebnie miejsce i zajmujących masę drogiego czasu na utrzymywanie ich w jakim takim stanie ładu i porządku.

A tymczasem kryzys, którego, dawno zapowiadanego dna nie widać, zmusza setki i tysiące rodzin do przenoszenia się do coraz mniejszych lokali, aż do jednego pokoju włącznie.



Kompletne urządzenie izby mieszkalnej — projekt Z. P. D.



Jak powinno wyglądać mieszkanie robotnicze jednoizbowe...

Jak mieszkać, jak egzystować w tej jednej, jedynej izbie?

Pytanie to probuje rozwiązać Związek Pań Domu. Sprzęty konieczne nietylko projektuje, lecz i wykonania ich dozoruje niewyczerpanie pomysłowa i praktyczna pani Marja Chmielewska. Jej umeblowanie jednopokojowego mieszkania, wykonane ze zwykłego sosnowego drzewa w kolorze naturalnym mieliśmy możność już kilkakrotnie oglądać na różnych wystawach i możemy zawsze obejrzeć we Wzoorwni Z. P. D. na Nowym Świecie.

Jest ono przeznaczone dla rodziny pracowników fizycznych — czyli robotniczej, jednak tak estetyczne że niejedna rodzina pracowników umysłowych — czyli inteligentów, mogłaby się niem nietylko kontentować lecz czuć się zupełnie dobrze w tem skromnem otoczeniu. Wszystko niezbędne i nic zbytecznego.

Jeżeli pozwoliłam sobie wrócić do tego wzorowego jednoizbowego umeblowania, to ponieważ danem mi było je ujrzeć w zupełnie specjalnem miejscu i otoczeniu.

Z inicjatywy pani doktora Jaroszewskiej, przy wybitnej pomocy właścicieli znanej fabryki czekolady E. Wedla, w wielkiej hali tej fabryki na Pradze urządzono pokaz jednoizbowego, wzorowego mieszkania robotniczego. Jest to jeden z etapów na szeroką skalę zakrojonej i wciąż prowadzonej akcji Z. P. D., mającej na celu szerzenie wiadomości praktycznych w kierunku ulepszania metod prowadzenia gospodarstwa domowego w sferach robotniczych. Prowadzi się pogadanki, pokazy, całe kursy gospodarstwa domowego na peryferjach miasta, w dzielnicach zamieszkałych przez najmniej zamożną ludność.

Akcja ta, coraz bardziej ceniona przez tę ludność, szczególniej przez kobiety, dla których praktyczne wskazówki są nieraz prawdziwą rewelacją, znajdują zrozumienie i poparcie w szeregu instytucyj i zakładów przemysłowych. Więc i obecni właściciele starej znanej firmy, zatrudniającej ogromne rzesze robotników — (w tem jak zwykle w cukiernictwie przeważną ilość kobiet) dają wszelką pomoc w urządzeniu dla nich projektowanych przez doktora Jaroszewską a urządzanych przez Z. P. D. pogadanek i pokazów.

Pierwszym etapem jest wystawa.

Otworzono ją uroczyście. Korzyści jakie wiadomości z dziedziny racjonalnego i oszczędnego gospodarstwa płynąć mogą i jak dobre urządzenie mieszkań podniesie zdrowie rodzin w niem zamieszkałych — zobrazowali w swoich przemówieniach: panna Strasburgerówna, pani Wanda Ładzina, pani doktór Jaroszewska, obecny właściciel firmy p. Jan Wedel.

Po przecięciu wstęgi symbolicznej, kiedy tłumy robotników (głównie robotnic) runęły na wystawę, oczom ich przedstawiła się miła niespodzianka. Nie jedną izbę, chociażby najbardziej wzorowo urządzoną mogliśmy oglądać — lecz trzy.

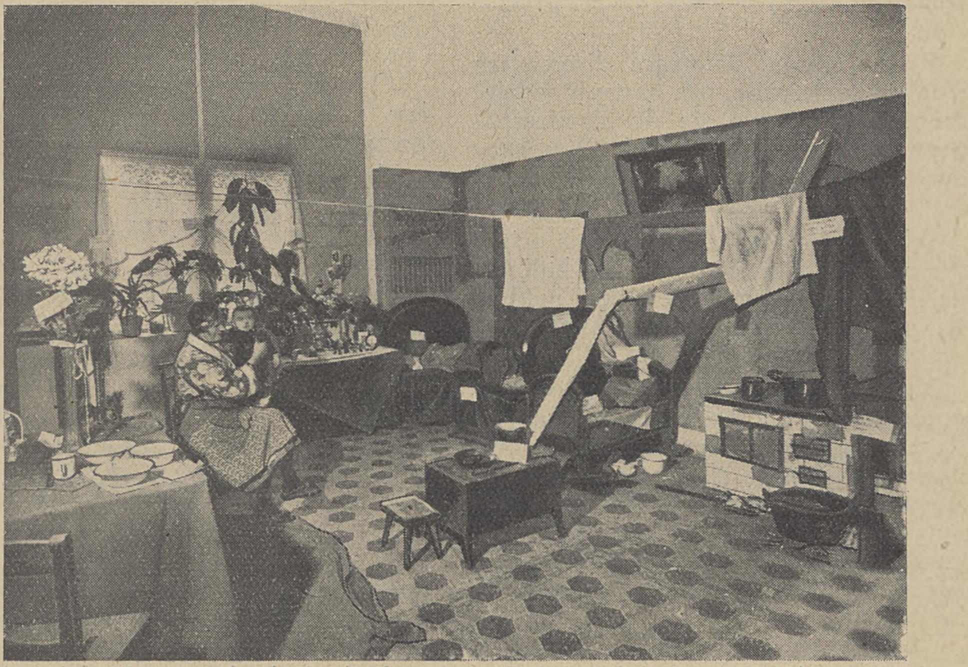
Tak trzy izby o jednakowym wymiarze, jednakowych wejściach, jednakowych, dużych, dających moc światła, weneckich oknach.

W pierwszej kompletne, komfortowe urządzenie polecane przez Z. P. D.

Więc tapczan, po wysunięciu dolnej kondygnacji dający dwa wygodne łóżka, stół, zajmujący mało miejsca, a dający się rozsunąć na dwanaście osób, duża szafa umiejętnie wewnątrz rozplanowana, mogąca wygodnie zmieścić garderobę całej rodziny. Łóżeczko dziecinne i kojec, w którym małe dziecko może dzień cały się bawić nie potrzebuje ciągłego dozoru matki zajętej pracami domowemi. Mała kuchenka węglowa, półki z naczyniami, stół kuchenny-zmywalnia, osłonięty firanką kącik z umywalnią i tuszem. Małe firanki na oknie, starannie pielęgnowane rośliny w donicach, gustowne, łatwo piorące się makatki na ścianach.

Drugi i trzeci pokój, urządzone pod kierownictwem pani doktora Jaroszewskiej przez miejscową ochroniarkę pannę Zofję Żołędziowską, najlepiej znającą warunki egzystencji rodzin swoich pupilów, dają dokładny obraz tego czem jednoizbowe mieszkanie robotnicze w obecnych warunkach być może i czem być nie powinno.

Nie każdy, nawet najlepiej zarabiający robotnik może się zdobyć na kupienie chociażby najpraktyczniejszego, nowego urządzenia. Ale każda dobra gospodyni może z najskromniejszego sprzętu wykorzystać w sposób miły dla



...i jak wyglądać nie powinno.

oka, dogodny dla pracy i wygodny dla mieszkańców. W takiej izbie dzieci się zdrowo hodują, mąż po pracy nie ucieka do szynku, gospodyni czuje się dobrze. Łóżko metalowe, czysto zasłane łatwo piorącą się kapą, (szkoda że brakło na niem wysoko spiętrzonych poduszek, powodu zamożności domu) stół przykryty czystym obrusem, duża szafa na bieliznę i ubrania, łóżko polowe, dowód że w łóżku nie sypia kilka osób jednocześnie, oddzielne łóżeczko dla każdego dziecka. Czyste firanki, zielone rośliny, półki z dostatniemi naczyniami nad kuchenką, kącik z umywalką, oddzielony zasłoną. Jako ozdoby łatwe do prania makatki na ścianach. Dopiero pokój trzeci daje iście tragiczny obraz tego, czem może być mieszkanie rodziny robotniczej, w której gospodyni zamiłowana w ruderach i pseudokomforcie nie ma zupełnie poczucia czystości i porządku.

Łóżko meblowe (jak obficie musi być ono zamieszkałe w każdej szczelinie?!) pokryte małą „pluszową" kapą. Również pluszowa kanapa i fotele, również pluszowa serweta na stole, wszystko brudne, wypłowiałe, pokryte kurzem i plamami z jedzenia. Etażerki i stoliczki. Na każdem wolnem miejscu gipsowe figurynki „pod brąz", bukiety papierowych kwiatów, słonie, słoniki i słonięta, olbrzymi mops flanelowy, zapewne ulubione zabawki dzieci. Szare od kurzu firanki i nigdy nie myte okna. Klozety zepsute. Rura, oklejona kolorowymi papierkami, przeciągnięta przez pół izby do „oszczędnościowej" kuchenki, zajmującej sam środek izby. Wszędzie niemyte naczynia, w kącie kupa śmiecia i brudnych papierów. Ani śladu oddzielnych posłań dla dzieci. Ściany pokryte „haftowanemi" kolorowo i wypukło makatkami, idealnemi zbiornikami kurzu.

Straszno pomyśleć, jak się w tem mieszka, — nawet jeżeli uwzględnić nieco zgęszczony koloryt całości,.

Długo musiały organizatorki wystawy szukać po kątach i zbierać te najmniej celowe i przygodne graty, tak dobrze jednak malujące gust wielu kobiet — niestety — nietylko z robotniczej sfery.

Nie można jednak było obmyśleć bardziej zniechęcającego „repoussoir'u".

Elżbieta Kiewnarska.

Obiad młodej pani domu

— ...I choć w dzisiejszej epoce pary i elektryczności linje komunikacyjne zostały niesłychanie skrócone i zmienione, jedna droga pozostanie podobno zawsze taka sama! Jest to droga do serca męża przez... żołądek!

Takim to wyszukanym zwrotem zakończyła swą kwiecistą orację ciotka panny młodej, wręczając jej na prezent ślubny „Kucharza warszawskiego" „365 obiadów" oraz gruby foljał swych własnych, wypróbowanych przepisów.

Panna młoda, dzierżąca dotychczas jedynie dysk, kulę, lub narty, z wdzięcznością przytuliła się do opancerzonego gorsetem łona ciotki. O gospodarstwie wiedziała tyle, co ciotka jej o... sercu mężczyzny.

W parę dni po ślubie pragnęła olśnić swego małżonka zawiłą wiedzą kulinarną. Rozłożyła wszystkie księgi mądrości, niczem senniki królowej Saby i poczęła ustalać trudne menu.

Ktoś, niegdyś mówił, że najłatwiej ugotować rosół. Przecież to gorąca woda z jakimś tylko smakiem. Podobno dawniej gotowało się go na gwoździu. Ale byłby to napewno gwóźdź do trumny męża. Trzeba się poradzić „Kucharza warszawskiego". O, świetnie! Już na pierwszej stronie natrafiła na to, czego szukała.

„Wziąć 10 funtów mięsa, jedną starą kurę, podróbki z indyka, lub kawałki cielęciny...

Dawna sportsmanka uczuła dziwne łaskotanie w okolicy serca.

Jakto? Dla nich dwojga 10 funtów mięsa? I kurę, koniecznie starą! Któraż kura się do tego przyzna!... A skąd wziąć tego indyka. I czy on napewno będzie miał podróbka?

E! Z zupy trzeba zrezygnować: rosół podobno pobudza artretyzm, a zupa źle działa na linję.

Można zrobić natomiast smaczna przystawkę. O, jest coś doskonałego! „Amoretki wołowe". Będzie to nawet a propos miodowych miesięcy.

„Ociągnąć amoretki we wrzącej wodzie, pokrajać na kawałki, włożyć do rondelka, podlać rosołem...—

Ale co to są amoretki! Co ma się ociągnąć i pokrajać! Ech z amoretkami w kuchni. Lepiej zrobić dobrą pieczeń z cielecia.

„Najlepsze jest mięso z cielęcia od 4 — 8-miu tygodni mającego, młodsze, ani starsze, nie jest już dobre do użycia.

Pani domu czuła, że blednie pod warstwą rouge coraille. Jak tu mieć pewność, że to ciele ma cztery tygodnie, a nie cztery miesiące? Lepiej zrobić rybę.

„Łosoś w papilotach...

— Nie przypuszczałam nigdy, że łosoś ma takie długie włosy, że można je zwijać w papiloty! Cóż to za niemodna ryba. „Karp w szarym sosie". Nie tego też nie można podać. Mąż ma na imię Polikarp i mawia często, gdy jest w złym humorze: Jestem dziś w nieswoim sosie. Poczytałby to za aluzję...

Wszystkie pieczenie każe piec „Kucharz" na rożnie. Skąd tu wziąść rożen, gdy się ma tylko piecyk gazowy, kupiony na raty.

Indyjski Mandaznan zaleca same jarzyny. Trzeba się do tego zastosować. Najlepiej zrobić obiad z samych jarzyn. Kucharz okazał się nieoceniony w urozmaiceniach:

„Endywja, cykorja, roszponka, rzeżucha". Lepiej nie wyobrażać sobie miny męża.

Po drodze wpadły jej w oczy jeszcze inne ryby. Leszcz duszony, sztokfisz domowy... Przypomniał się jej wierszyk dziecinny, na określenie obiadu:

Ryż, mysz, sucha miotła i sztokfisz...

Będzie sama legumina. O jest nawet przepis: „Tania i doskonała legumina z bułeczki" — Klasnęła w dłonie z entuzjazmem. Taniość jest dewizą młodego gospodarstwa. Z ostatniej wycieczki przynieśli z sobą parę niedojedzonych bułek, które wyschły na kamień w spiżarni. Będzie doskonała okazja do popisania się oszczędnością i przemyślnością.

„Weź dwadzieścia żółtek, kilogram migdałów, pół suchej bułeczki"...

Wstrząsnęły nią spazmy.

A może upiec babkę i podać ją do herbaty?

„Na garniec maki bierze się 12 łutów drożdży, 60 żółtek...

Kiedy pan Polikarp powrócił do domu, zastał żonę zemdloną nad książką kucharską. Serce jej nie wytrzymało. To dzielne serce na wirażach, w powietrzu i na śniegu, osłabło nagle wobec tej straszliwej ironji minionych lat. Pan Polikarp (w czarnym sosie) pobiegł do sklepiku, by kupić szynki za osiemdziesiąt groszy. Na podpalonym kucharzu ugotowali herbatę, zagryzając wędliną przyprawioną beszamelem z łez młodej gospodyni i żółci zgłodniałego małżonka.

Irena Szczepańska.

Przesadzamy rośliny pokojowe

W pierwszej połowie marca, zanim żywotność naszych roślin pokojowych obudzi się w pełni, musimy przesadzić te, które nie mieszczą się w zeszłorocznych doniczkach, a sprawdzić wszystkie wegetujące ospale.

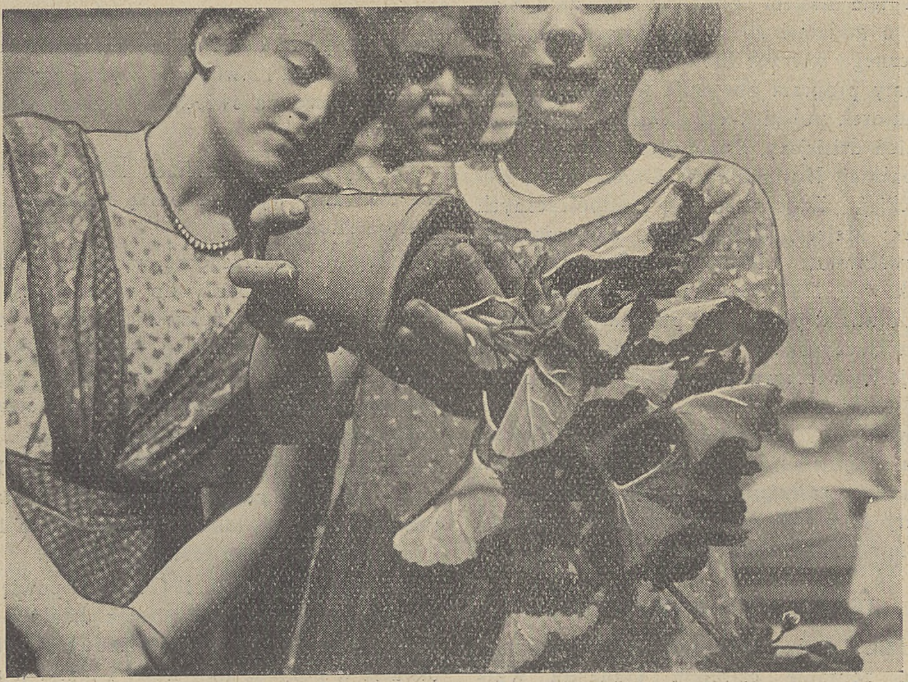
Pomiędzy naszemi roślinami znajdą się i takie, które nie potrzebują większych doniczek, jednakże mają ziemię wykorzystaną, nieodpowiednią, albo zakwaszoną i z tego względu będą wymagały chociażby częściowego jej zmienie-

Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza i Redakcja Tygodnika Kobiety zwracają się z gorącym apelem do wszystkich Pań, które zalegają z prenumeratą o niezwłoczne przekazanie jej za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych dołączonych do Nr. 7 Tygodnika Kobiety.

Rozwój i byt pierwszego spódzielczego wydawnictwa kobiecego jest uzależniony od lojalnego ustosunkowania prenumeratorek do ich pisma. Służąc sprawie kobiet, walcząc o ich lepsze jutro, czujemy się w prawie oczekiwać od osób związanych nicią sympatji i zainteresowania z naszemi poczynaniami, solidarności, której wyrazem będzie punktualne spełnianie zobowiązań zaciągniętych względem wydawnictwa.

Prosimy wszystkie nasze Czytelniczki o rozpowszechnianie Tygodnika Kobiety!

Redakcja.



Prawidłowy chwyt przy przesadzaniu roślin...

nia. Zarówno w pierwszym, jak i drugim wypadku rozpoczynamy od wyjęcia bryły z doniczki. Nie zawsze uda nam się to wykonać sposobem klasycznym, pokazanym na wizerunku.

Dla uzupełnienia wrażeń wzrokowych dodaję rzeczowe objaśnienie:

Chwycić lewą dłonią, rozstawionemi palcami, brzeg doniczki, przeprowadzając łodygę rośliny pomiędzy rozwartemi drugim i trzecim palcem; doprowadzić doniczkę do pozycji poziomej. Prawą ręką uderzyć mocno w spód doniczki, a gdy zauważymy, że bryła odłączyła się od jej ścianek zdjąć delikatnie doniczkę, aby nie uszkodzić bryły.

Zdarza się jednak, że silny rozrost korzeni, wynikający ze zbyt długiej przerwy w przesadzaniu, utrudnia wyważenie bryły z doniczki, wtedy niema innej rady jak stłuc doniczkę silnem uderzeniem w ściankę i zdjąć ją kawałkami.

Przystępując do przesadzania roślin mamy już przygotowane doniczki podług wskazówek zamieszczonych w Nr. 6-ym Tygodnika Kobiety. Na dno tych doniczek dajemy dreny (kawałek skorupy z potłuczonej doniczki i kawałek węgla drzewnego) sypiemy warstwę świeżej ziemi i ustawiamy porśodku doniczki roślinę. Następną czynnością będzie osypanie jej ziemią, kilkakrotne stuknięcie doniczką o blat stołu, aby ziemia w doniczce opadła, dopełnienie ziemią i silne ugniecenie jej rękami. Wypełniając doniczkę pamiętajmy o pozostawieniu parocentymetrowej wolnej przestrzeni, która ułatwia późniejsze polewanie.

Natychmiast po przesadzeniu trzeba polać roślinę co ułatwia osadzenie się ziemi w doniczce.

Zanim jednak przeniesiemy roślinę do świeżej ziemi trzeba uwolnić chociażby częściowo korzenie od ziemi zużytej. Robimy to przez tak zwane „spulchnienie" korzeni, pomiędzy któremi przeprowadza się ostrożnie patyczek cienko, ale tępo zastrugany. Korzenie nadpsute przycina się, aż do zdrowego miejsca, suche usuwa przycinając zarówno jedne, jak i drugie ostrym nożykiem. Nadmiernie rozrośnięte korzenie można przerzedzić.

Jak będziemy postępowały dalej z przesadzonemi roślinami?

Przedewszystkiem nie dawajmy im nadmiaru wody, aż do chwili, w której zauważymy że roślina dobrze się już czuje na nowem podłożu, zaczyna wegetować sprawnie, to znaczy cieszy oko świeżym wyglądem i wykształca nowe liście, czy pędy.

Świeżo przesadzone rośliny nie lubią ostrej operacji słonecznej. Trzymamy je zatem w półcieniu dopóki nie powrócą do formy. Jest to właściwa chwila do rozpoczęcia intensywniejszego polewania i wiosennego zasilania nawozami pomocniczemi (sztucznemi), z których zalecić należy chorzowską mieszankę do kwiatów, wpływającą doskonale zarówno na rozwój liści, pędów, jak i na kwitnienie.

Zasilanie stosujemy początkowo raz na dwa tygodnie, w miarę zbliżania się rośliny do okresu kwitnienia, raz na tydzień. Normy przyjęte to łyżeczka soli chorzowskiej na 4 litry wody o temperaturze pokojowej.

Zasilanie stosujemy przed wieczorem, nigdy w czasie operacji słonecznej, jest to zasada, do której stosować się należy i przy polewaniu roślin.

Wszystkie paprocie, asparagusy, palmy będą też wymagały codziennego obfitego zraszania, które zastosujemy również po zachodzie słońca, używając wody o temperaturze nieco wyższej niż temperatura pokoju, w którym rośliny wegetują.

Zbędnem jest chyba zwracać uwagę na to, że przesadzając rośliny trzeba usunąć wszystkie suche pędy i liście.

W dużych donicach, w których wegetują rośliny nie przeznaczone w danym sezonie do przesadzania zdejmiemy wierzchnią warstwę ziemi, aż do korzeni, uważając aby ich nie uszkodzić i zastąpimy ją ziemią świeżą, pełnowartościową z punktu widzenia odżywczego.

Pamiętajmy jeszcze o jednem: przenoszenie roślin do doniczek znacznie większych niż te, w których dotychczas wegetowały odbija się fatalnie na ich dalszym rozroście. Roślina nie będzie wystarczająco odżywiona przez korzenie, dopóki one nie osnują całkowicie bryły ziemi. Jeżeli ilość tej ziemi (zbyt duża donica) będzie stosunkowo zaduża do rozrostu korzeni, roślina wstrzyma się w rozroście, aż do chwili wytworzenia odpowiedniej sieci korzonków. Stąd nieraz przykry zawód u osób nieorjentujących się w potrzebach hodowanych roślin. Zdawałoby się, że hojna dawka świeżej, pożywnej ziemi powinna cuda czynić, tymczasem dzieje się odwrotnie, a nie każda z nas rozumie przyczynę, nie każda orjentuje się, że to właściwie wina jej nieuświadomienia.

M. S—ka.

+ staniałem ! = denaturat +

NADESŁANE

HUMOR W TWÓRCZOŚCI AUTOREK POLSKICH

Pod tem hasłem odbędzie się dnia 6-go marca o godzinie 20 w sali Konserwatorjum Muzycznego wieczór literacki.

Bogaty program obejmuje fragmenty utworów autorek polskich od dawnych czasów aż po dzień dzisiejszy. Znajdujemy tam nazwiska Drużbackiej, Hoffmanowej, Orzeszkowej, Konopnickiej, Zapolskiej, jak i współczesnych autorek: Melcer, Wielopolska, Samozwaniec, Kuncewiczowa, Morozewicz-Szczepkowska, Szpynkówna, Dąbrowolska i Kowalska.

Współudział przyrzekły pp. Marja Strońska, Halina Buczyńska i Helena Gruszecka. Conferensjerkę wieczoru prowadzić będzie p. Jadwiga Kiewnarska.

Humor — rzecz cenna zawsze, a obecnie rzadka. Zapowiedź skondensowanej wesołości spotka się z zasłużonem zainteresowaniem.

Bilety są już do nabycia w kasie „Orbisu" w cenie od 50 gr. do 4 zł.

ZE ZWIĄZKU PAŃ DOMU

W dniu 7 lutego 1936 roku odbyło się miesięczne zebranie członkiń Oddziału Warszawskiego Związku Pań Domu, pod przewodnictwem p. H. Lutostańskiej.

Zebrane członkinie z wielkiem zainteresowaniem wysłuchały referatu p. Marji Karczewskiej p. t.: „Wrażenia ze zjazdu organizacyj kobiecych w Tallinie". Prelegentka zobrazowała działalność kobiet estońskich, które swą pracę potrafiły postawić na tym poziomie iż praca domowa uznana jest tam prawnie za zawód i stworzona została przez Rząd estoński I-sza na świecie Izba Gospodarstwa Domowego.

Po wysłuchaniu referatu zebrane członkinie uchwaliły wysłać depeszę gratulacyjną kobietom estońskim.

Następnie poszczególne wydziały Oddziału Warszawskiego podały do wiadomości:

Zapisy na lekcje śpiewu chóralnego przyjmuje Sekretarjat Związku — Nowy Swiat 9, lekcje odbywać się będą we wtorki i piątki o godz. 18-ej począwszy od dnia 3 marca.

Poradnia: czynna 3 razy w tygodniu — poniedziałki, środy i piątki w godz. od 12 — 14-ej. Ostatnio zorganizowano dział przygotowania na indywidualną miarę sukien i bielizny według najświeższych żurnali.

Wydział Bibljoteki i Czytelni powiększył ilość prenumerowanych pism z działów urządzeń mieszkań, literatury i mody. Czytelnia otwarta w poniedziałki, środy i piątki w godz. 12 — 14-ej, a w poniedziałki także od 18 — 20-ej.

Wydział Klubowy komunikuje, iż w lokalu Związku Pań Domu w każdy czwartek odbywają się wieczory towarzyskie z bridge'm w godz. 18 — 24-ej.

Wydział ewidencji członkiń usilnie prosi o regulowanie zaległych składek członkowskich.

Walne zebranie sprawozdawcze odbędzie się w dniu 6 marca 1936 roku.

TRWAŁOŚĆ NASZYCH TRYKOTÓW

Trwałość trykotów, zajmujących tak poważne miejsce w garderobie ludzi współczesnych, zależy od umiejętnej konserwacji.

Zaliczamy do niej w pierwszym rzędzie umiejętne pranie, no i natychmiastowe zapobieganie najlżejszym uszkodzeniom, bowiem „oczko" trykotu, tak jak oczko jedwabnej pończochy nie zna granic złośliwości z jaką ucieka jeżeli go natychmiast nie schwycimy.

Pranie jest rzeczą zarówno ważną w sezonie trykotowym, to znaczy w okresie ciągłego noszenia: swetrów, pulowerów, szalików, rękawiczek, jak i po sezonie, kiedy układamy te ciepłe skarby do snu zimowego. W pierwszym wypadku dbamy o świeży wygląd ubrania — w drugim o jego trwałość. Wiadomą jest rzeczą, że mole rzucają się na przesycone potem, kurzem i brudem tkaniny z żarłocznością, któryrym nie jest w stanie przeciwdziałać nawet obfita dawka naftaliny, czy innych „wonnych", a znienawidzonych przez mole proszków, ziół i płynów. Na pomyślne przetrwanie do następnego sezonu mogą liczyć tylko trykoty przechowywane w nienagannej czystości.

Ale teraz powróćmy do prania.

Prać trzeba w lekkim roztworze mydła, całkowicie wystudzonym.

Ciepłe mydliny, ciepła woda działają fatalnie na delikatną nitkę wełnianą, która kurczy się pod wpływem wysokiej temperatury i twardnieje, zatracając swoją lekką, miłą i ciepłą puszystość.

Więc łyżka proszku mydlanego, albo Radionu na litr zimnej wody, wprost z krana to idealny roztwór do prania. Nie powinno być w nim grudek, to też cedzimy go przed użyciem przez czyste sito.

Tkaniny trykotowe pierze się nie zapomocą tarcia, a zapomocą wyciskania. Wyciskamy, zmieniając mydliny, tak długo dopóki nie usuniemy całkowicie brudu. Z chwilą kiedy mydliny będą zupełnie czyste płóczemy, znów w zupełnie zimnej wodzie, zmieniając ją kilkakrotnie. Płóczemy starannie i cierpliwie, bo mydło, o ile w tkaninie pozostanie lepi się na jej powierzchni, no i znów działa ujemnie na puszystość wełny.

Usuwamy wodę z tkaniny przez wyciskanie, poczem zawijamy przedmiot uprany w ręcznik kąpielowy i wyciskamy go jeszcze z wilgoci. Mokrych przedmiotów nie wiesza się, a rozpościera na prześcieradle kąpielowem, albo ręczniku, nadając pierwotny kształt i rozmiary. Pamiętajmy o tem, że przedmioty trykotowe łatwo wychodzą z nieumiejętnego prania, a właściwie suszenia, skurczone, albo rozciągnięte, bo zachowują wielkości i formę, jakie nadamy im na mokro.

Jeżeli pierzemy dżempry, lub sweatry dobrze będzie przekroić z nich „na sucho" formę z papieru i później podług niej ukształtować do suszenia.

Praktyczna.

Jadłospis tygodniowy skromny

Niedziela.

Buljon z liśćmi włoskiej kapusty.
Befsztyki wołowe siekane — kasza krakowska na sypko — ogórki z konserwy.
Ciastka opatrznościowe z kremem czekoladowym.

Poniedziałek.

Barszcz żytni biały — kartofle.
Gołąbki z kapusty z mięsem i ryżem.
Kompot z suszonych śliwek francuskich ze skórką pomarańczową.

Wtorek.

Zupa jarzynowa na buljonie.
Makaron włoski z tartym serem szwajcarskim.
Galaretka.

Środa.

Zupa purée z fasoli na wędzonych żeberkach wieprzowych.
Żeberka — kartofle z wody — chrzan tarty.
Bulwy z masłem.

Czwartek.

Krupnik na kostkach wieprzowych.
Bitki wieprzowe w ostrym sosie rumianym — kartofelki przysmażane.
Sałata z kiszonej kapusty.
Grzanki z sokiem.

Piątek.

Kasza na buljonie.
Pierożki z kapustą i grzybami.
Ryż z rodzenkami i śmietaną.

Sobota.

Zupa pomidorowa z grzaneczkami.
Kotleciki cielęce siekane — purée z kartofli — marchewka.
Naleśniki z marmeladą.

ANKIETA ogłoszona w 1-ym numerze Tygodnika Kobiety p. t. „Jakie są najżywotniejsze troski Pani Domu i jak na nie zaradzić należy" nie przyniosła oczekiwanych przez nas wyników.

Z 10 nadesłanych odpowiedzi, ani jednej jury konkursowe nie zakwalifikowało do nagrody, ponieważ nie odpowiadały warunkom ankiety.

W pracach nadesłanych odczuwa się brak zrozumienia czem powinny być odpowiedzi. Niema w nich inicjatywy, któraby wskazałaby nowe drogi wyjścia z błędnego koła trosk pani domu. Na pierwszy plan wysuwają się wszędzie prawie powikłania natury moralnej i uczuciowej.

Zamierzając drukować nagrodzone prace Tygodnik Kobiety pragnął służyć swemi szpaltami Pani Domu, doceniając jej trudne w dzisiejszych warunkach, położenie, niestety materjał jaki przyniosła ankieta nie posuwa naprzód tej wspólnej nam wszystkim sprawy, do której powrócimy jeszcze na innem miejscu.

Sposób przyrządzania barszczu żytniego. 4 szklanki mąki żytniej razowej wsypać do niepobielanego garnka glinianego, zalać czterema szklankami letniej wody, doskonale wymieszać, przykryć płóciennym gałgankiem i pozostawić w kuchennem cieple na przeciąg 4 do 6 dni. Przed użyciem wymieszać. Przyrządzając barszcz lać kwas przez gęste sitko na gotującą wodę, dobierając do smaku. Okrasić słoniną pokrajaną w drobne skwareczki i przesmażoną na złoty kolor. Doskonały jest też barszcz żytni przyrządzony na smaku z mięsa wędzonego, np.: żeberek wieprzowych, boczku, kości od szynki i t. p.

Gołąbki z kapusty. Dużą głowę kapusty obrać z wierzchnich nadpsutych liści. Zagotować w dużym rondlu wodę, włożyć w nią kapustę, gotować 5 minut żeby liście lekko zwiotczały. Wyjąć, osączyć. Nadciąć liście przy głąbie, podzielić uważając, aby ich nie uszkodzić. Pośrodku liścia kłaść trochę farszu, zawijać ściśle, poczem dać na dno rondla trochę rosołu, albo buljonu rozpuszczonego w wodzie, włożyć łyżkę masła, wsypać soli, łyżeczkę cukru. Wyłożyć dno rondla drobniejszemi listkami kapusty, nieodpowiedniemi do faszerowania, na nich ułożyć gołąbki. Dusić na wolnym ogniu, pod przykryciem około dwóch godzin. Wydając na stół wyjąć kapustę na wygrzany półmisek, postawić na parze, żeby nie wystygła, a sos zaprawić masłem przesmażonem z mąką, dodając jeszcze trochę rosołu, lub buljonu. Doprawić do smaku, polać kapustę, posypać siekaną zieleninką.

Farsz do kapusty. 20 dk. ryżu wymyć w zimnej wodzie, osączyć. Wsypać na obfitą wrzącą wodę, lekko osoloną, gotować 5 minut, wyłać na durszlak, przepłókać zimną wodą, osączyć doskonale.

¼ kg. wieprzowiny od szynki (bez kości) przepuścić dwukrotnie przez maszynkę, wymieszać z ryżem, wlać 2 łyżki sklarowanego masła, wbić 1 całe jajko, dodać do smaku soli, trochę białego pieprzu, wsypać siekanej zieleninki. Wszystko razem doskonale wyrobić.

Ryż zapiekany z pomidorami. 25 dk. ryżu, 15 dk. konserwy pomidorowej, 10 dk. masła, 3 kostki buljonu, ½ cebuli. Tarty ser, tarta bułeczka. Ryż wypłókać w zimnej wodzie, zagotować raz na obfitej wodzie, przepłókać zimną wodą, osączyć.

Z wyżej podanej proporcji masła pozostawić ¼, resztę włożyć w rondel, roztopić, wsypać ryż, potrząsać rondlem, tak aby ryż wymieszał się doskonale z masłem. Buljon rozpuścić w szklance wody, zalać wrzącym buljonem ryż, wymieszać, wyrównać powierzchnię, przykryć, wstawić do pieca. Po upływie godziny powinien być miękki, w razie gdyby wchłonął wilgoć, a pozostał twardy, dolać parę łyżek zimnej wody, ale ryżu nie mieszać.

Posiekać drobno kawałek cukrowej cebuli, przesmażyć z masłem, nie rumieniąc zbytnio. Wlać do ryżu masło z cebulką, konserwę pomidorową, posolić do smaku, wymieszać.

Posmarować półmisek ogniotrwały masłem, ułożyć ryż w zręczną kopułę, posypać suto tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanem, zapiec na rumiano. Oddzielnie można jeszcze podać sos pomidorowy.

Mostek cielęcy faszerowany gotowany z jarzynkami. 1 kg. mostka cielęcego. Na farsz: 20 dk. cielęciny bez kości, łyżka masła, 4 jaja, 2 bułki, 2 łyżki tartej bułeczki, sól, pieprz, siekana zieleninka. Jarzynki, łyżka masła, 2 kostki buljonu. 1 kg. mostka cielęcego z pięknej tuczonej sztuki, namoczyć na noc w zimnej wodzie, luzując z kości przed namoczeniem.

Cielęcinę przeznaczoną na farsz zemleć na maszynce, poczem ostrym tasakiem usiekać na maść. Bułki namoczyć w mleku, odcisnąć. Rozetrzeć na misce masło na śmietanę, dodać bułki, wbijać po jednem jaju i ucierać 10 minut. Wreszcie dodać mięso siekane, wyrobić doskonale, wsypać dodatki, a gdyby farsz wydawał się zbyt rzadki wsypać trochę tartej bułeczki.

Mostek wyjąć zawczasu z wody, osączyć, wytrzeć ściereczką, przeciąć go wzdłuż pod błoną, nadziać farszem, zaszyć nitką białej, dosyć grubej bawełny, zalać w rondlu wrzącą wodą, gotować z dodatkiem włoszczyzny i cebuli, półtorej godziny na wolnym ogniu. Oddzielnie udusić sporo jarzynek poszatkowanych w paseczki, dołączając do nich cieniutko krajaną cebulę. Jarzynki podlać buljonem, dodać łyżkę masła.

Gotową cielęcinę wyjąć z rosołu, osączyć, pokrajać w plastry, ugarnirować duszonemi jarzynkami. Oddzielnie podać kluseczki krajane kraszone masłem.

Mostek cielęcy pieczony ze słodkim farszem. Mostek cielęcy namoczyć i przygotować, jak wyżej. Farsz przyrządzić w sposób następujący:

15 dk. wątróbki cielęcej moczonej w wodzie i oczyszczonej z wierzchniej błony, usiekać na miazgę. 2 bułki namoczyć w mleku, wycisnąć, rozetrzeć na misce z dwoma

łyżkami masła, dodając stopniowo 3 jaja. Dodać do farszu garść rodzynków, czubatą łyżeczkę cukru, soli do smaku, siekaną wątróbkę. Wszystko to doskonale wyrobić, nadziać mostek, zaszyć. Piec około półtorej godziny, polewając obficie masłem. Podawać z zieloną sałatą, lub sałatą z kapusty i przysmażonemi kartofelkami.

Babki z wątróbek. Proporcja: 20 dk. wątróbki cielęcej, 2 bułki namoczone w mleku, 4 jajka, 5 dk. masła, pół niedużej cebuli, pieprz biały, sól.

Wątróbkę moczyć w mleku 2 godziny. Wyjąć, osączyć, zdjąć błonę, wyżyłować. Usiekać bardzo drobno (na masę). Kawałek cebuli sparzyć, posiekać drobniutko, udusić w maśle. Bułki obedrzeć ze skórki na tarce, namoczyć w mleku, a gdy spęcznieją doskonale odcisnąć. Utrzeć na misce masło na śmietanę, dodawać stopniowo bułkę i po jednem jajku, ucierać dalej na gładką, pulchną masę. Dodać wątróbkę, soli i pieprzu do smaku, wymieszać.

Wysmarować małe blaszane foremki masłem, wyprószyć tartą bułeczką, napełnić farszem. Ustawić foremki na blasze od pieczeni, wstawić na pół godziny do gorącego pieca. Wydawać na wygrzanym okrągłym półmisku wyjęte z foremek i ugarnirowane smażoną natką od pietruszki. Oddzielnie w sosjerce sos rumiany maderowy, kaparowy, albo rumiany z maderą i szampionami. Takie babeczki można podawać bezpośrednio po zupie, albo też na drugie śniadanie, lub kolację, jako samoistne danie. Służą też jako wyborna, wykwintna przekąska.

Salsefja z sosem holenderskim. Dorodne korzonki salsefji umyć czysto, o skrobać. W czasie czyszczenia rzucać do zimnej wody lekko zakwaszonej kwaskiem cytrynowym, aby nie sczerniały.

Gotować w wodzie lekko osolonej, dodając łyżeczkę cukru i trochę mąki pszennej, pod której wpływem salsefja zachowa biały kolor.

Ugotowane korzonki salsefji wyjąć z wody, osączyć, ułożyć na półmisku wysłanym serwetą. Oddzielnie w sosjerce podać sos holenderski. Można też podać salsefję jak szparagi z rumianem masłem przesmażonem z bułeczką.

Sos holenderski. 2 łyżki masła śmietankowego, 5 żółtek, rosół z dodatkiem białego wina (razem szklanka), albo sam rosół. Masło z żółtkami utrzeć w kamiennym garnuszku na pianę. Rosół z winem zagotować, wstawić rondelek do naczynia z wrzącą wodą, dodawać po trochu masło z żółtkami, ubijać, podgrzewając, ale nie doprowadzając do stanu wrzenia, żeby się żółtka nie ścięły. Sos powinien być gęsty i lekki, jak piana. Na wydaniu doprawić solą, cukrem, sokiem cytrynowym i odrobina białego pieprzu. Przyrządzać w ostatniej chwili przed wydaniem na stół.

Salsefja smażona w cieście. Ugotowaną, jak wyżej, salsefję wyjąć z wody, osączyć na serwecie. Przygotować ciasto, biorąc na każde surowe jajko 2 łyżki śmietany i tyle mąki, aby ciasto było odpowiednio gęste, powinno zatrzymywać się na umoczonej w niem jarzynie.

Rozpuścić na głębokiej patelni masło, albo szmalec. Tłuszczu powinno być tyle żeby salsefja pływała w niem swobodnie. Smarzyć na złoty kolor. Wydawać wprost z patelni.

Kruche pierożki z konfiturami. Proporcja: 20 dk. mąki pszennej, 10 dk. masła, łyżka gęstej kwaśnej śmietany, 5 dk. cukru pudru. Powidła owocowe, albo konfitury osączone z syropu. Jajko do posmarowania, cukier puder z wanilją do posypania.

Zagnieść ciasto p/g powyższej proporcji, dodając szczyptę soli. Pozostawić w chłodzie niech stężeje. Rozwałkować cienko, wykrawać szklaneczke szampanką krążki. Pośrodku każdego krążka kłaść trochę powidełek owocowych, albo konfitur starannie osączonych z syropu i obsuszonych. Składać krążki na pół, zalepiać mocno ściskając brzegi. Ułożyć na blasze od pieczenia, a w chwili wstawiania do pieca smarować jajkiem rozbitem i trochą wody. Piec na złoty kolor. Wydawać wprost z pieca posypane cukrem pudrem z wanilją.

Kruche pierożki smażone na szmalcu. Proporcja: 40 dk. mąki pszennej, 2 łyżki pudru, 2 żółtka, 1 całe jajko, 2 łyżki araku i tyle młodej kwaśnej śmietany, aby ciasto dało się swobodnie zagnieść, ale nie było zbyt wolne. Dobrze wygniecione przykryć miseczką pozostawić w spokoju pół godziny.

Rozwałkować cieniutko, wykrawać krążki, kłaść pośrodku powidełka owocowe, albo dobrze wysmażony, gęsty dżem. Zalepiać mocno. Rzucać na silnie rozgrzany szmalec, a po usmażeniu na złoty kolor wyjmować z tłuszczu łyżką durszlakową, osączać na bibule i podawać gorące, posypane cukrem pudrem z wanilją.

Legumina z mąki kartoflanej. Proporcja: 8 jajek, szklanka cukru pudru, szklanka mąki kartoflanej, trochę sproszkowanej wanilji. Masło do formy. Sok, albo konfitury.

Ubić żółtka z cukrem do białości, wymieszać z mąką kartoflaną, dodając wanilji sproszkowanej i trochę drobno siekanej skórki pomarańczowej osmażonej w cukrze. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, lekko domieszać. Włożyć masę do formy wysmarowanej masłem śmietankowem, wstawić do gorącego pieca na dobre pół godziny. Wydawać gorącą wprost z pieca, albo na zimno przybraną konfiturami.

Piaskowiec oszczędnościowy. Proporcja: ⅛ kg. masła deserowego, ⅛ kg. mąki pszennej, łyżeczka strychowana proszku do pieczenia „Backin" dr. Oetkera, ⅛ kg. mączki „Gustin" dr. Oetkera, 1 paczka cukru waniljowego dr. Oetkera, 4 jajka.

Rozgrzać masło na parze, przestudzić do letniej temperatury. Mąke pszenną wymieszać z mączką „Gustin" i proszkiem do pieczenia, osiać przez gęste sito, dodawać stopniowo do masła, ucierając bezustannie. Po wypotrzebowaniu wszystkiej mąki dodawać stopniowo cukier wymieszany z cukrem waniljowym i po jednem jajku.

Doskonale wyrobione ciasto włożyć w keksową formę wysmarowaną masłem i wyprószoną mąką. Piec godzinę w średnio gorącym piecu.

Melba.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązanie logogryfu z Nr. 5

1. wi T ać
2. cz Y ją
3. mo G ąc
4. sł O wa
5. ra D zę
6. uf N ie
7. śn I my
8. ta K ie
9. po K ój
10. wr O ta
11. za B ić
12. św I ta
13. ki E dy
14. ła T wo
15. kr Y ją

Wobec żywego zainteresowania jakie wzbudził wśród naszych Czytelników Logogryf i Rebus, wprowadzamy na szpalty naszego pisma dział Rozrywek Umysłowych pod kierownictwem Aliny Kwiecińskiej.

Rozrywki umysłowe będą się ukazywały dwa razy na miesiąc. Za dobre rozwiazanie Redakcja przeznacza książki, które przypadają w udziale osobom nagrodzonym drogą losowania.

Poza nagrodami przyznawanemi za poszczególne rozwiązania Redakcja przeznacza książki, które przypadają w udziale osobom nagrodzonym drogą losowania.

Poza nagrodami przyznawanemi za poszczególne rozwiązania Redakcja Tygodnika Kobiety przeznacza dwa razy do roku po 5 nagród dla osób, które w przeciągu półrocza nadeślą największą liczbę prawidłowych rozwiązań. Nagrody cierpliwości będą przyznawane w dniach 1-go lipca i 1-go stycznia każdego roku.

Rozwiązanie Logogryfu Propagandowego nadesłały Panie:

chremczykowa Zofja — z Chrocieńczyc. B. Wanda — z Jabłonny. Bleźniowa I. — z Otwocka. Gałkowska Zofia — z Kowla. Jachimowicz Nadzieja z Wilna. Kniażewska Elza — z Gródka Jagiellońskiego. Kostro Janina — z Kalisza. Kosińska Czesława z Prużan. Nowakowa Bronisława — z Ciećkowic. Orzeszko Halina — z Gołkowa. Perkowska Krystyna — z Wolbroma. Pieniażkowa Janina — z Dabrówki Kościelnej. Stelmasiakówna — z Łodzi. Wincewiczowa Marja Walentyna — z Międzyrzeca.

Z Warszawy:

Bielecka J. A. Bryczkowska Marja. Brzozowska Stefania. Dudrewiczowa Janina. Kaczyńska M. Kunecka Jadwiga. Litterowa Halina. Pietka Stanisława. Piotrowska Helena. Powierzyna Rozalska Helena. Powierzyna Rozalska Helena. Roździestwieńska Halina. Wasilkowska Jadwiga. Zarzecka Irena. Zielińska Anita.

Nagrodzone zostały drogą losowania Panie:

Orzeszko Halina z Gołkowa. Perkowska Krystyna z Wolbroma. Roździestwieńska Halina z Warszawy.

Za prawidłowe rozwiązanie Rebusa umieszczonego w Nr. 7-ym Tygodnika Kobiety Redakcja przeznacza dalsze 3 książki.

Termin nadsyłania dwutygodniowy.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA *Wanda Dobrzańska.*
KOMITET REDAKCYJNY: *Jadwiga Krawczyńska, Marja Minchejmerowa, Zofja Petersowa i Alma Stodolska.*
WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Szpitalna 5, m. 15, tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13-191.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

31. KOMPLET Z WEŁNY SKŁADAJĄCY SIĘ Z SUKNI GARSONKI I 3/4 PŁASZCZYKA. SPÓDNICA PLISOWANA NA PRZODZIE I Z BOKÓW.

32. KOSTJUM Z WEŁNY W 2 TONACH BEIGE – BRONZ. SPÓDNICA CIEMNIEJSZA – PALTO JAŚNIEJSZE.

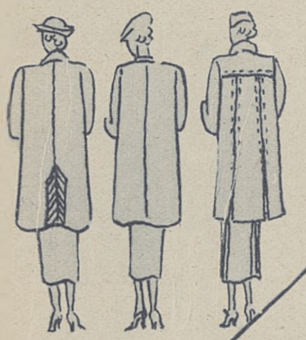
33. ELEGANCKA CAŁOŚĆ SKŁADAJĄCA SIĘ Z GRANATOWEGO PŁASZCZYKA I SPÓDNICY – KIESZONKI TYŁ PŁASZCZA OZDOBIONY SZCZYPANKAMI. BLUZKA Z RÓŻOWEGO JEDWABIU.

34. KOSTJUM WIOSENNY Z SZAREJ WEŁNY. SPÓDNICA Z FAŁDĄ Z PRZODU ŻAKIET PRZYBRANY KIESZONKAMI PIKOWANEMI. RĘKAW – REGLANOWY. GUZIKI Z DRZEWA.

35. KOSTJUM WIOSENNY SKŁADAJĄCY SIĘ Z CIEMNEJ SPÓDNICY I JASNEGO ŻAKIECIKA. BRZEG KOŁNIERZA I PASEK Z TEJ SAMEJ WEŁNY CO SPÓDNICA.

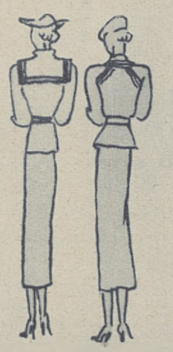


33. 32. 31.





35. 34.





1.



2.



3.

1. LUŹNE PALTO REGLANOWE Z WEŁNY W KRATĘ. PHOTO ... MODEL FIRMY HERPICH.

2. STANIK Z PELERYNĄ Z WEŁNY W DROBNĄ KRATKĘ. METRO GOLDVYN MAIER.

3. KOSTJUM Z WEŁNY LUB JEDWABIU W DUŻĄ KRATĘ.

Rotofot — Warszawa